

POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY  
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

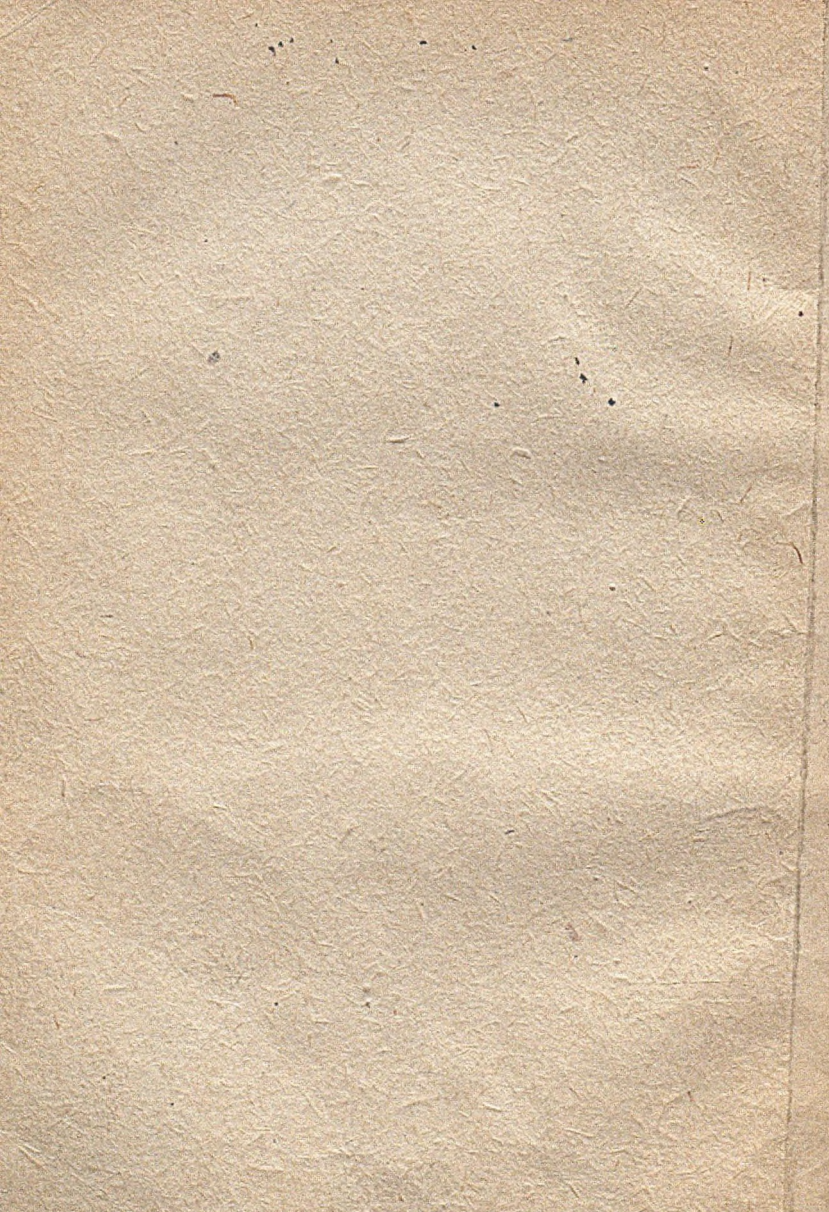
34

JAN GRABOWSKI



SKARB NA SUMATRZE

GEBETHNER I WOLFF



POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY  
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

---

JAN GRABOWSKI

# SKARB NA SUMATRZE

WYDANIE PIĄTE  
z 12 ilustracjami



~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH  
Nr. 249~~



NAKLAD  
GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA 1943



Gra  
ska  
8-93

~~2749~~



~~SM~~ 18787



821.162.1(02.053.2)

WYDAWCA: GEBETHNER I WOLFF  
WARSZAWA  
Nr. 40/43.

Zakł. Druk. F. Wyszynski i Ska, Warszawa

Wszystko zaczęło się od tego, że Antkowi Laskowskiemu, temu, co to jego ojciec ma sklep kolonialny naprzeciwko poczty, ciotka przysłała z Gdyni kawałek bursztynu. W tym bursztynie była mucha. Wyglądała tak, jakby się dopiero co utopiła w miodzie. Wszystko było widać dokładnie. I oczy, i nogi, i nawet żyłki na skrzydłach. A takusieńka była, jak wszystkie muchy.

Antek przyniósł ten bursztyn do szkoły. Ale zamiast pokazać go choćby Józkowi Korneckiemu, z którym siedzi na jednej ławce i niby z nim najbliżej się przyjaźni, ani słowa nie pisnął nikomu o tem, co ma w tornistrze. Dopiero jak się zaczęła pierwsza lekcja, Antek wstaje i wyciąga do pana rękę z bursztynem. A taką ma ważną minę, jakby słońce z gwiazdami trzymał w garści.

— Przedpotopowa mucha—powiada.—Ciotka mi z Gdyni przysłała — powiada.

Ciotka! Chwalił się Antek tą ciotką swoją, jak tylko mógł! I tym swoim wujem, co był podobno bosmanem na jakimś okręcie! Jak tylko pan

zacznie opowiadać o jakichkolwiek zamorskich krajach, już Antek się wyrывa:

— Mój wuj tam był! Ciotka mi o tem mówiła!

A jak pan kazał mu kiedyś, żeby opowiedział całej klasie o tem, co słyssał od ciotki, Antek ani be, ani me! Jakby wody w usta nabrał.

Lubił się chwalić ten Antek! A już najbardziej pragnął, żeby każdy zwracał na niego uwagę. Szczególniej nauczyciele i pan kierownik. Nie to, żeby był lizus, ale chciał, żeby go chwalić. Choć tak, nie można powiedzieć, Antek był niezły chłopak i nawet dobry kolega.

Pan wziął bursztyn do ręki, obejrzał i zaczął nam opowiadać o skamieniałej żywicy, która plynęła z drzew, co rosły kiedyś, bardzo dawno temu. Jak skończył, oddał bursztyn Laskowskiemu i pyta się klasy:

— Oglądaliście już tę muchę w bursztynie?

Cała klasa woła jednym głosem:

— Nie! Laskowski nam nie pokazał!

— To sobie obejrzyjcie na przerwie — powiedział pan i na tem się skończyło. Antek schował swoją muchę do kieszeni. I nic. Cicho. Siedzimy i czekamy dzwonka. A każdy sobie myśli: nawet pan się zdziwił, że nam Antek nie pokazał swojej muchy, tylko dusi ten swój skarb w kieszeni, jakby to było niewiadomo co. Więc jak się tylko lekcja skończyła, wszyscy do Laskowskiego: pokaż i pokaż! On nam niby pokazuje. Ale nawet do ręki wziąć nie pozwala, tylko miga bursztynem zdaleka.

Nie pamiętam już kto mu wyrwał ten bursztyn z ręki, nie przez złość, ale tak z żartów. Antek rzucił się odbierać. Zrobiło się zamieszanie. Zaczęli sobie chłopcy podawać ten bursztyn z ręki do ręki. Było przy tem trochę hałasu. Wszedł na to pan. Antek nie wytrzymał i, choć skarżypytą nie był, zaczął się skarżyć. Pan kazał sobie oddać bursztyn, schował go do kieszeni i powiedział, że go odda Antkowi dopiero wtedy, jak będzie szedł do domu. A nas skrzyczał za to, że nie umiemy się zachować jak należy i „z rzeczy poważnych robimy igraszki“. To było ulubione powiedzonko pana. Nazwaliśmy go też Igraszką.

Nikt już później nie myślał o bursztynie. Lekcje były bardzo ciekawe, a na historii pokazywali przezrocza. Wracaliśmy do domu ze szkoły we czwórkę, bo i Wacka Piotrowska szła z nami. Już byliśmy koło stacji, aż tu Antek staje, wyciąga z kieszeni swój bursztyn i każe nam oglądać. Obejrzeliliśmy ze wszystkich stron i oddaliśmy Antkowi. Mucha, jak mucha, nic w niej nie było osobliwego. Tylko Wacka, jak to dziewczyna, zaraz się zachwycą, że inna, że taka ładna.

— Złap muchę na oknie, obejrzyj, będziesz miała taką samą — powiada jej Józek Kornecki.

Poszliśmy dalej. Antek schował swój bursztyn i powiedział, że nam go już nigdy nie pokaże, choćbyśmy go niewiadomo jak prosili. Wysunął się naprzód i szedł sam, bo mu to nie w smak było, żeśmy się tak mało zachwycali jego skarbem.

Mijaliśmy właśnie dom kapitana. Co to był za kapitan, tego naprawdę nikt nie wiedział. Mieszkał sam, w ładnym domku nad rzeką.

Wokoło był ogród.

Mówili wszyscy, że chyba nikt na świecie nie ma takiego ogrodu. Rosły tam zupełnie inne rośliny, niż w innych ogrodach. Podobno kapitan sprowadzał je sobie z zagranicy. Pan Lamparczyk, listowy, opowiadał, że takich znaczków, jak te, co je widuje na listach do kapitana, nigdy na oczy nie oglądał, a przecież już trzydzieści lat na poczcie służy. O tym kapitanie opowiadali ludzie niestworzone rzeczy, zapewne dlatego, że nikt o nim nic pewnego nie wiedział. Bo kapitan z nikim nie żył, nigdzie się nie pokazywał i nikogo do siebie nie zapraszał.

Otóż mijamy dom kapitana, a tu słyszymy z za płotu taki huk, jakby kto materac sprężynowy trzepał, albo bił w taki duży bęben, co w strażackiej orkiestrze pan Kosidor na nim gra. Powiada Wacka:

— Zajrzyjmy. co oni tam robią!

Ze krzaki koło płotu były wysokie, więc ją Józek podsadził. Wacka zajrzała i woła:

— Ludzie! Krokodyla kijem biją!

Nie chcieliśmy wierzyć. Zaklinała się, że prawda.

Opowiadała, jaki ten krokodyl duży, jakie zęby ma wielgaśne. Nie można było nie wierzyć. Pierwszy zajrzał Antek. Ja go podsadzałem. Tak mu się podobało, że nie chciał zejść. Powiadam mu:



— Złaż! Ramiona mnie już bołą! Jabym też rad popatrzył!

Ze się nie ruszał, więc spuściłem go przez głowę. Podsadził mnie Józek. Patrzę — stoi ławka, na ławce leży krokodyl, a pan kapitan go miotełką trzepie. Przyglądam się, aż tu słyszę krzyk Antka:

— Mój bursztyn! Gdzie jest mój bursztyn!

Ledwie stanął na ziemi, Laskowski rzuca się na mnie z pięściami:

— Oddaj! — wrzeszczy. — Toś ty mi schował, jakieś mnie podsadzał!

— Nie schowałem — odpowiadam mu spokojnie. — Masz w kieszeni. Poszukaj.

Antek szuka. Wywrócił kieszenie. A Wacka spojrziała i mówi:

— Masz dziurę w kieszeni, to ci wypadł.

Antek już gotów był biec zpowrotem do szkoły i szukać. Aż tu Józek podnosi z ziemi kawałek bursztynu.

— Musiał ci wypaść z kieszeni, jakieś się spinał. I ktoś, a może ty sam nawet, rozgniółł go nogą.

Laskowski oszalał. Kręcił się wkółko, darł za włosy, a później usiadł na brzegu chodnika i milczy. Rozpacza. Przysiadła się do niego Wacka. Coś mu tam szeptem. On ją odepchnął, zerwał się i do nas z wymówkami. Krzyczy, zanosi się, aż pieje.

— Co się stało? — pyta się skądś jakiś głos.

Oglądamy się. Pan kapitan. Znaliśmy go z widzenia dobrze, bo często przechodził koło szko-

ty i jak spotkał którego z nas, to się zawsze uśmiechał i nieraz rozpytywał o lekcje i o to, co się robi w szkole.

Wacka zaczęła opowiadać. Ale jak to Wacka! Gada i gada, a o najważniejszym zapomniła. Przerywam jej i opowiadam o bursztynie i co się z nim zrobiło.

— A ten bursztyn był z muchą w środku i taki był kosztowny, że za niego można było rower kupić — wyrywa się niewiedomo poco ta dziewczyna, bo choć nam tak Antek opowiadał, ale niebardzośmy w to wierzyli.

Nagle Antek rozpycha nas i zaczyna pełzać po ziemi z oczyma tuż przy chodniku. Zbiera kawałeczki bursztynu i chowa w papierek.

— Żebym tylko tę muchę znalazł, to wszystko będzie dobrze!

— Jakto? — pyta go Józek.

— Pan mówił, że się bursztyn topi. Roztopię bursztyn i wsadzę do niego muchę.

— Możesz muchy nie szukać, bo nie znajdziesz — powiada pan kapitan. — Ale wiecie co? Opowiem wam o pewnej musze w bursztynie, takiej n. asze, która na pewno była więcej warta niż rower. Proszę do mnie! Zaraz otworzę wam furtkę.

Zginał nam z oczu za krzakami. Spojrzeliśmy po sobie. Czasuśmy mieli coprawda dość. No i zobaczyć zbliska wypchanego krokodyla, to też coś w arte. To też Wacka i Józek już stali przy furtce, Antek spojrział raz jeszcze na miejsce, gdzie stracił

bursztyn, i poszedł za nimi. Tylko mnie się nie śpieszyło do tej wizyty. Nie dlatego, żebym nie był ciekaw, co pan kapitan chciał nam opowiedzieć, tylko tak. Już mam takie szczęście, że jak gdzie jestem pierwszy raz, to mi się zawsze musi coś pod rękę kruchego podwinąć. I ani się obejrzę, jak już leżą na ziemi skorupy. Nie chciałem kapitanowi robić krzywdy, więcem się ociągał. Jak to zobaczyła Wacka, zna mnie ona dobrze, bo mieszkamy na jednym podwórzu, powiada do mnie:

— Chodź, nie bój się! Już ja będę uważała na ciebie!

Poszedłem. Pan kapitan usadził nas pod lipą, przy okrągłym stole. Sam poszedł do domu. Wacka do mnie:

— Połóż tórniester na ziemi! Trzymaj rękę przy sobie!

Przewodząc nade mną jej się zachciało! W ogrodzie! Czy tu jest co do zbicia? Już miałem na języku, żeby się do mnie nie wtrącała, alem jej nic nie zdążył powiedzieć, bo pan kapitan wrócił. Niósł koszyk gruszek. Pod pachą miał zwitek papieru. Była to mapa. Rozłożył ją na stole i zaczął opowiadać.

## II

— Historja, którą wam opowiem, działa się w kraju bardzo dalekim. Pojedziemy tam z Gdyni, dobrze?

— Mój wuj — zaczął Antek, ale uciął i odsunął się ze złością od Józka. Dobrze chłopak zrobił, że go kuksnął. Można będzie słuchać spokojnie tego, co pan kapitan mówi.

— Wsiadamy więc na statek w Gdyni — ciągnie pan kapitan dalej. — Płyniemy przez Morze Bałtyckie, mijamy cieśniny między Danją a Szwecją — mówi, pokazując na mapie — opłyniemy zachodnie brzegi Europy i przez Gibraltar wydostajemy się na Morze Śródziemne. Dopływamy do Port Saidu, tu, w Egipcie. Przez Kanał Sueski, Morze Czerwone wypływamy na Ocean Indyjski. Opływamy Indje. Zatrzymujemy się ot tu. Port ten nazywa się Singapur, co znaczy miasto lwa.

Pan kapitan zdjął teraz ze stołu wielką mapę, a położył mniejszą.

— Tu jest Singapur. A te wyspy to Indje Holenderskie. Jawa, Borneo, Sumatra, Celebes. Na Celebesie są kolonie angielskie i leży niezależne państwo Sarawak.

— Mam taki znaczek pocztowy! — pochwalił się Józek.

— Jedziemy teraz na Sumatrę. Przesiadamy się na mniejszy okręt, niż ten, który nas wiozł przez ocean. Mamy drogę niedaleką, ale zato bardzo trudną. Cieśnina, którą płyniemy, pełna jest raf, skał podwodnych, utrudniających żeglugę. Ale nie bójcie się. Mamy doświadczonego pilota.

— Co to jest pilot? — pyta Wacka, zupełnie niepotrzebnie, bo pan nam kiedyś opowiadał, że to

są przewodnicy, którzy prowadzą statki w miejscach trudnej żeglugi.

— Wypływamy więc z Singapur o wschodzie słońca, to jest o szóstej rano...

— A jeżeli to jest w zimie? — wyrwa się Wacka, a Józek jej pokazuje palcem na mapie równik. Zawstydziała się. Ale zamiast milczeć, zaczyna zagadywać, że niby to, a tamto.

— Wschód słońca — mówi pan kapitan dalej jakby nie słyszał Wacki — to jest złe określenie. Słońce pod równikiem wyskakuje nagle i tak samo nagle ucieka. Niema brzasku, ani zmroku. Dzień trwa niezmiennie dwanaście godzin. Otóż po czternastu godzinach drogi od Singapur jesteśmy tu.

— Djawi - Djawi — przeczytał Antek.

— Przystań jest płytka, okręt nasz staje na redzie.

Tu już Antek nie wytrzymał.

— Na redzie, to znaczy na pełnem morzu, u wejścia do portu.

Pan kapitan skinął głową.

— Skończymy jeszcze z ogólnymi wiadomościami o Sumatrze — powiedział. — Wyspa ta jest tak rozległa, jak pół Polski, zaludniają ją Malaje.

— Murzyni? — pyta Wacka, choć przecież wie dobrze, że Sumatra jest w Azji, nie w Afryce.

Pan kapitan wziął ją pod brodę, przyjrzał się jej i powiedział:

— Gdybyś była nieco ciemniejsza, mogłabyś uchwodzić za Malajkę. Masz dość płaską twarzycz-

kę, nieco wystające kości policzkowe i dość sztywne, prawie czarne włosy. Na Sumatrze mówionoby o tobie, że masz szczękę pantery.

— Dlaczego?

— Tak tam nazywają kobiety, które nie mają spiłowanych przednich zębów i pokazują je w uśmiechu w całej okazałości, tak jak ty.

— Spiłowanych? — zdziwiła się Wacka, i zakryła ręką usta, jakby na samą myśl tego piłowania już ją zęby bolały.

— A po jakiemu ci Malaje mówią? — pyta Józek.

— Po malajsku, mój chłopcze -- uśmiecha się pan kapitan. — Język jest bardzo dźwięczny i bardzo prosty. Łatwo się go można nauczyć. Wyrazów jest bardzo niewiele. Odmian niema wcale. Liczła mnoga tworzy się przez podwojenie wyrazu, na przykład: orang — człowiek, orang — orang ludzie.

— Orangutang to jest taka wielka małpa — mówię, bo mi się przypomniało co pan kiedyś opowiadał.

— Dosłownie znaczy: leśny człowiek, bo utang to las po malajsku. Język malajski posiada wiele wyrazów złożonych. Mata — oko, hari — dzień, matahari — oko dnia, znaczy słońce. Sarong — odzież, surat — list.. Sarongsurat znaczy odzież listu, czyli koperta. Malaj stara się mówić jak najzwięźlej, krótkimi zdaniami, czego nie może wypowiedzieć wyrazami. dopowiada ruchem i intonacją.

Ale wysiadajmy ze statku. Mały parowiec już nas oczekuje na przystani. Podjeżdżamy do niego szalupą okrętową i jazda nowym parowcem w górę tej rzeki, którą tu widzicie na inapie. Jest ona tak prawie szeroka, jak Wisła pod Warszawą. Wody jej są żółte, mętne, pełne wirów. Tu i ówdzie widać lachy, kępy błotniste i wygrzewające się na nich krokodyle. Wybrzeża zarówno morza, jak i rzeki, zarasta skłębiony las drzew nadwodnych, a za nim — puszcza podzwrotnikowa. Płyniemy kilka długich godzin, matahari już wyskoczyło na niebo, robimy jeszcze jeden zakręt na rzece. Tym razem ostatni. Syrena naszego parowca ryczy. Widać pomost przystani. Bielą się na nim białe ubrania moich pomocników, za nimi granatowa linja, upstrzona od góry szkarłatnymi punkcikami. To sierżant policji Sikro ustawił swoich ludzi i czeka na nasze przybycie. Podjeżdżamy, rzucamy cumy...

— To znaczy liny, któremi przywiązuje się statek do przystani — powiada Antek.

— Tak, chłopcze. Do przystani z pokładu przerzucają pomost. Sikro woła zduszonym, gardłowym głosem: Lakas! Moja armja prezentuje broń, salutujemy, przykładając palce do korkowych helmów...

— A ja? — pyta się niepewnym głosem. Wacka.

— Ty się kłaniasz głową. Schodzimy na ląd. Witamy się z asystentami naszej plantacji, moimi

pomocnikami. Przechodzimy przed frontem naszego wojska. Jeszcze sto kroków i jesteśmy u siebie.

— Gdzie?

— W Kaloendangu. Na plantacji tytoniu. Jesteście gośćmi jej dyrektora, Mynhera\*) Kalinowskiego, to jest mnie. Dobrze? Zgadza się? No to idziemy dalej. Po schodach wchodzimy do mojego domu. Jest on szeroki, rozłożysty. Ma dwie werandy po obydwu stronach: jedną zwróconą w stronę rzeki i przystani — to jest mój salon, drugą od strony plantacji, to jest moja jadalnia. W innych pokojach znajdzie się dość miejsca dla was. Dom mój ma spiczasty dach, kryty attapem, to jest wysuszoną trzcina, ściany ma pomalowane na kolor piernika, oprawy okien na biało, okiennice na zielono, wygląda więc prawie tak, jak dom czarownicy w Jasiu i Małgosi. Wydaje się być domem z bajki jeszcze i dlatego, że się właściwie zaczyna dopiero od pierwszego piętra, bo stoi na wysokich palach.

— Na palach? Dlaczego?

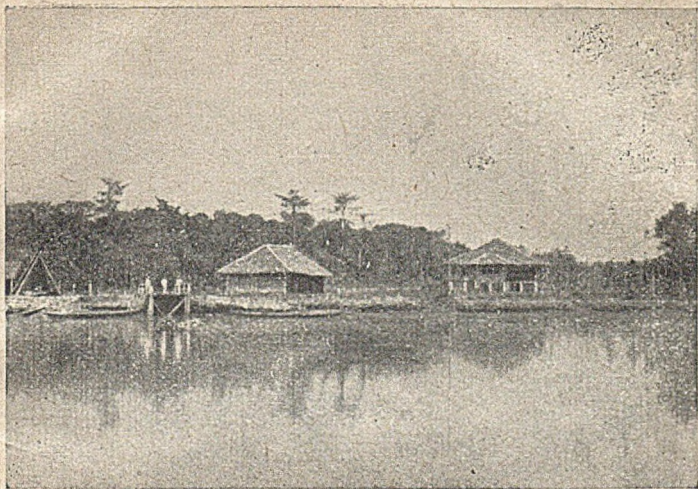
— Ulewa podzwrotnikowa to nie nasze deszczyki. Z nieba leją się rzeki wody. W okamgnieniu następuje powódź. Dom, stojący na ziemi, byłby zalany po czubek dachu, zanim ktokolwiek zdążyłby pomyśleć o ucieczce. To jedno.

— I dzikie zwierzęta, prawda? — powiada Józek.

---

\*) Mynher po holendersku: paan.





Dom plantatora



Plantacja tytoniu



Nasza rzeka



Dom malajski

— Właśnie. Bezpieczniej im w nocy nie wchodzić w drogę. Szczególniej tygrysowi. Ale nie czas na opowiadanie o niebezpieczeństwach, skoro dopiero co przyjechaliście do mnie. Do kąpiel!

— Na rzekę? — pyta się Antek, a widać, że mu się to wcale nie uśmiecha.

— Nie, do łazienki! Weźmiecie gorącą kąpiel i wyszorujecie się mydłem. Pannie pomoże Meina, moja pokojówka, a chłopcami zajmie się Dobi, mój pracz, bo praniem zajmują się tam mężczyźni, i Toekan Ajar, nosiwoda, który pilnuje kąpeli. Wykąpaliście się. Przebieracie się w białe jedwabne ubrania. Jedwab jest tam tańszy, niż płótno. Panna stroi się po malajsku, dobrze? Owija się więc od dołu kolorową płachtą jedwabną, którą przepasuje w biodrach barwnym szalem, a na to wkłada kattan biały, zapinany z przodu, który się nazywa kabaja. Płachtę, która wygląda jak spódnica bez szwu, noszą mężczyźni i kobiety. Ona to właśnie nazywa się sarong. Mój kucharz, Tjoto, bije już w gong. Idziemy na reistafel. Jak Indje Holenderskie długie i szerokie, wszyscy na śniadanie jedzą reistafel. Jest to ryż, do którego dodaje się różne gatunki mięsa, pokrajane w kostkę, i zaprawia ostrym sosem. Tjoto jest znakomitym kucharzem, więc potrawa wam smakuje. Brzęczą łyżki o talerze...

— Rysiek zbił już jeden talerz! — wyrywa się z kiepskim dowcipem Wacka i patrzy na mnie. Myślę sobie: poczekaj, pogadamy w domu!

— Może i zbił, ale nie będę miał o to do niego pretensji — powiedział pan kapitan i Wacka spuściła oczy, jak zmyła. — Boję się jednak, moja małeńka, czy i ty nie zbijeś teraz swojego talerza. Bo pomiędzy belkami, które nad werandą podtrzymują dach, zaczyna się jakiś ruch niesamowity. Podnosicie głowy i nie zauważacie, że Tjoto njesie już drewniany talerz i dzbanek z mlekiem kokosowem. Oczy wam się rozszerzają ze strachu. Najchętniej ucieklibyście pod stół. Takich gości nigdy nie widzieliście przy stole.

— A co to jest?

— Moja Klara. Ma ona w belkach pod dachem gniazdo, w którym śpi. W dzień, bo całe noce poluje na szcury. Wystarczy jednak, żeby posłyszała brzęk talerzy, budzi się, wychyla głowę, a później wysuwa się cała tak długo, dopokąd pyszczkiem nie sięgnie do talerza z kokosowem mlekiem, które stawia już dla niej Tjoto.

— Co to jest ta Klara?

— Wąż pyton. Ma przeszło trzy metry długości.

— Ojej! — jęknęła Wacka i przysunęła się bliżej do pana kapitana.

— Jest bardzo łagodna. Gwizdnąłem. Zsunęła się po słupie. Teraz dopiero zauważyliście, że obok jadalnego stołu stoi mniejszy, kwadratowy, na mocnych grubych nogach. To jest miejsce Klary. Już jest na swoim stole. Obejrzała się jeszcze dookoła, czy niema w pobliżu psa. Czuje ona do psów

wyraźną niechęć. Ze psy w tej chwili karmią, i żadnego z nich niema na werandzie, więc się Klara uspokaja. Przyjrzała się każdemu z was, zanurzyła trójkątny pyszczek w mleko i pije. Pogłaszczemy ją później po jej ładnym łepku. Niech tylko wypije mleko.

— Jabym chyba zemdlała! — znów wyrwała się Wacka.

— Każde zwierzę można polubić, moje dziecko, w każdym można znaleźć przyjaciela. Trzeba tylko chcieć. Przyjaciół nie zdobywa się jednak w ten sposób, że się mdleje na sam ich widok.

— Ale krokodyla to już chyba nikt nie oswoił!

— Widziałem małe, dwudziestoletnie krokodyle, które chodziły za ludźmi, jak psy! Ale o krokodylach będziemy mówili później. Jest godzina dziesiąta. Żar nie do wytrzymania. Wyciągacie się na leżakach. Wtem od strony rzeki słychać syrenę. Parowiec. Przybija do przystani. Wycho-dzę naprzeciwko gościa. To pan Amonado, Brazylijczyk, dyrektor plantacji kawy. Kawę uprawiano w Indjach Holenderskich oddawna, ale w ostatnich czasach system uprawy zaczęto ulepszać i dlatego sprowadzono kierowników plantacji z Brazylii, kraju, który co do ilości wytwarzanej kawy i sposobu jej hodowli stoi na pierwszym miejscu w całym świecie. Od pana Amonado dowiedziałem się, że radza jest w swojej rezydencji, a ponieważ miałem do niego interes, postanowiłem wybrać się tam jutro. Pijemy z gościem kawę, palimy, rozmawiamy

o tem i o owem. Zobaczył was. Uprzejmy, jak każdy Brazylijczyk, a spragniony widoku białych ludzi, białych dzieci, jak każdy zagubiony w puszczy plantator, gdzie białych kobiet, a więc rodzin i dzieci niema prawie wcale, zaprasza was serdecznie do siebie. Pojedziemy do niego. Ale najpierw jutro z samego rana wybierzemy się do radży, dobrze? Telefonowałem już do jego rezydencji do Negri - Lama. Radża przyjmie nas o dziewiątej rano. Musimy wyjechać wcześniej, bo mamy szmal drogi przed sobą.

— To tam są telefony?

— Sicć telefoniczna jest nawet dość gęsta, mój chłopcze. Z mojego aparatu mogę mówić z całym światem. Jakże zresztą mogłoby być inaczej w kraju, który prowadzi tak ożywiony i rozległy handel?

Przespaliście najgorętszy czas, jest już prawie szósta wieczór, gdy się budzicie. Jeszcze jest zupełnie jasny dzień. Ale za chwilę niebo przybierze wszystkie kolory tęczy. Ten olśniewający fajerwerk będzie trwał zaledwie kilka minut, słońce zgaśnie nagle, jakby granatowa noc zatrasnęła za niem drzwi. Puszcza...

— Milknie i zasypia — podpowiada Wacka.

— Właśnie budzi się i ożywia. Zasypiają wprawdzie zwierzęta dzienne, nie słychać już wrzasków małp, głosów ptaków, ale nie znaczy to wcale, żeby las zasypiał. Teraz wychodzą na łowy wszystkie zwierzęta drapieżne, teraz można spotkać w

puszczy panterę i króla drapieżników, tygrysa. Nie pójdziemy nocą do lasu, prawda?

— Jabył poszedł — zaczął Antek. On się musi zawsze chwalić!

— Może pójdiesz, ale kiedy indziej — przerwał mu pan kapitan — bo teraz zjemy obiad.

— Z Klarą? — spytała Wacka.

— Klara wprawdzie już nie śpi, ale nie schodzi do stołu, bo przy obiedzie są nasze psy. Mamy doga Kinga, dwa foksy, jeden nazywa się Łobuz, i chińskiego psa, Czanga, z gatunku, jaki Chińczycy specjalnie chowają na rzeź.

— Jedzą psy?

— Jedzą. I mój Czang zginął z ręki Chińczyka. Ale o tem potem. Teraz jemy obiad. Używacie na owocach.

— Są banany?

— Pisangi? Są. Najrozmaitszych gatunków i najdziwniejszych smaków. Ale mój Tjoto postarał się dla was o coś jeszcze lepszego, niż tak pospolite banany albo ananasy. Ma on dla was mangustan. Jest to owoc, mający twardą ciemnopurpurową skorupę, a wewnątrz kilka białych wodnistych ząbków, ułożonych jak w pomarańczy. Te ząbki rozplływają się w ustach, mają smak i zapach poziomek, ananasu i wiśni, zmieszanych z przepysznaną śmietanką. Owoc ten nie znosi przewozu i dlatego nigdzie prawie poza wyspami Sundajskimi, bo tak się nazywają Indje Holenderskie, dostać go nie można.

Ze Wacka się oblizata, (łakomczuch, to ludzkie pojęcie przechodzi!) więc jej pan kapitan podał gruszkę i powiedział:

— Trudno, moje dziecko, nie mogę cię tu poczęstować mangustanem. Ale i gruszka nie jest zła, Nie wyobrażacie sobie, dzieci, jak chętnie nieraz oddałbym najsmaczniejszy owoc podzwrotnikowy za naszą pocziwą sapieżankę! Kochaną sapieżankę! Taką, jakie dojrzewały na jabłoni, która rosła zaraz koło ganku tego dworu, gdzie się wychowałem! Ale teraz — uwaga. Szczególniej dama, która mdlała na widok mojej Klary. Słychać ochryple okrzyki: Ghe! Ghe! Oglądacie się. Widzicie, jak na oświetloną część ściany werandy raz poraz skacze niewielka jaszczurka. To geko. Łowi ona owady, zwabione przez światło. Panience robi się trochę nieprzyjemnie na widok jaszczurki, zresztą zupełnie niewinnej, ale już na nią nie zwraca uwagi. Bo nagle słyszy śmiech, potem mój głos, deklamujący początek Pana Ta'eusza, później ja śpiewam jakąś polską piosenkę, co mi się nigdy nie udawało, bo mi brak było i głosu i słuchu, a nawet najlepsi moi przyjaciele prosili mnie awsz, bym przy nich nie śpiewał. Patrzycie na mnie. Mam usta zanknięte.

— Papuga! — domyśla się Antek.

— Nie, chłopcze, to beo. Dostałem go z Jawy. Jest wielkości gołębia, ciemnogramatowy, z żółtymi bokobrodami. Śpiewa, mówi, gwizdże, szczeka, a ro-



bi to o wiele lepiej, niż amerykańskie papugi. Ale dość wrażeń na dzień dzisiejszy. Idziemy spać.

Rano zjadamy lekkie śniadanie: I na statek! Na cześć radży wywieszamy jego flagę obok holenderskiej i flagi plantacji. Ruszamy w górę rzeki. Po drodze przyglądacie się puszczy, krokodylom, a szczególnie małpom, kołyszącym się na linach pnączy. Dziwicie się poplątanym gąszczom rotangów...

— Co to rotang?

— To pnąca palma. Znacie ją może, bo u nas spotyka się laski, robione z jej pędów. Nazywają je trzcina hiszpańską. Przedrzeć się przez zarośla rotangu prawie niepodobna, tak straszne są kolce, którymi pokryty jest cały pęd, a nawet liście. Krajowcy plotą z tych palm kosze, z pokrajanych zaś młodych pędów kręcą mocne sznury.

— A poco pan jedzie do radży? — pyta Józek, który zawsze wszystko chce wiedzieć dokładnie.

— Widzisz, towarzystwo handlowe, które jest właścicielem naszej plantacji, postanowiło ją rozszerzyć. Ziemi na Sumatrze kupić pod plantacje nie można. Trzeba ją wydzierżawić od radży. Już dawno zawarłem z radżą kontrakt dzierżawny. Musiał on być jednak zatwierdzony przez rząd holenderski. Sprawa zatwierdzenia wlokła się dość długo. Nareszcie otrzymałem pismo od rezydenta, coś niby naszego wojewody. Jechałem więc do radży, by go osobiście zawiadomić o zgodzie rządu i objąć w ten sposób wydzierżawiony teren w posiadanie.

— Daleko jeszcze do rezydencji radży? — pyta Wacka.

— Mijamy kilka rozlewisk, gdzie rzeka podobna jest do wielkiego jeziora, przesuwamy się pomiędzy wyspami, na których wylegają się krokodyle, wyglądające zdaleka jak kłody butwiejącego drzewa. Jeszcze zakręt. Las przed nami ucieka na prawo. I przystań. Taka sama, jak w Kaloendangu. Na pomoście oczekują nas dwaj wysłannicy radży, jego ministrowie, porucznik van Trassen i oddział policji: granatowe mundury i szkarłatne zawoje. Znów: lakas! Oddział prezentuje broń. Witamy się z Trassenem. Z wysłannikami radży. Idziemy.

— Dlaczego wszędzie jest policja? — spytał Józek.

— W Kaloendangu Sikro i jego oddział był przydzielony do plantacji. Pracowało na niej około pięciu tysięcy ludzi. Zbieranina ze wszystkich stron świata. Ktoś musiał pomiędzy tymi ludźmi utrzymywać porządek. A porucznik van Trassen dowodził oddziałem stanowiącym straż przyboczną radży. Byliśmy gośćmi radży, należała się nam wojskowa eskorta, choćby dla parady. Van Trassen, elegancki postawny oficer i bardzo miły człowiek, Holender pół - krwi...

— Co to znaczy pół - krwi?

— Matka jego była Malajką.

— Porucznik van Trassen miał jeszcze inne zadania do spełnienia, niż asystować jego radzowskiej mości. Musiał on dbać o to, aby pomiędzy rodziną panującą nie dochodziło do waśni, które mogłyby wywołać ruchawki, zamęty, a nawet wojny domowe, co pociągnęłoby za sobą wiele ofiar ludzkich i mienia. On to właśnie, van Trassen, miał najwięcej kłopotu z muchą w bursztynie. Ale chodźmy do miasta. Muszę wam odrazu powiedzieć, że w całej Negri - Lama były tylko dwa budynki murowane: wielki spichrz tytoniowy po jednej stronie przystani i taki sam drugi spichrz tytoniowy po drugiej jej stronie.

— A pałac radży? — spytała zawiedziona Wacka.

— Był drewniany, jak wszystkie domy malajskie. Składał się on właściwie z całego zlepku różnych budynków, pokrywał go las spiętrzonych ostrych daszków, przechodzących w ostre pazury, ale ściany były z plecionki bambusowej, pochyle tak, że pod dachem dom był szerszy niż u podwalin, jak w każdym domu malajskim. Wewnątrz pałac radży wykończony był bardzo ozdobnie, każda belka stanowiła piękny okaz sztuki snycerskiej. Rzeźby, malowidła pokrywały całe ściany. A najwyszukańsze batiki...

— Co to są batiki?

— Płachty bawełniane, lub jedwabne, na których roztopionym woskiem rysuje się wzory. Barwa nie przenika do tkaniny tam, gdzie jest wosk.

Zapomocą wielokrotnego rysowania woskiem i barwienia, otrzymuje się kolorowe materje o nadzwyczaj delikatnym deseniu. Otóż przepiękne batiki stanowiły zasłony i pokrycia ścian. Barwne maty leżały na podłodze. Całość byłaby bardzo okazała, gdyby nie to, że obok najrzadszych cennych, pięknych sprzętów i wytworów Wschodu, znajdowała się najpospolitsza europejska tandeta. A wszystko w takim nieładzie, jakby się ktoś po przeprowadzce nie zdążył zająć doprowadzeniem domu do porządku. Dla nas, ludzi Zachodu, czystość i ład stanowi o uroku wnętrza domu. Wschód ma pod tym względem odmienne poglądy. Nie myślcie tylko, że Malaje są brudni. Przeciwnie, kąpią się często i dbają o czystość ciała i domu. I miasteczko więc jest schludne. Idziemy szeroką ulicą pomiędzy ogrodami. Z gęstej zieleni przegładają złociste, kryte attapem dachy domków. Na ulicy gwar, śmiech, bo Malajowie są weseli jak dzieci, ruch, zgiełk. Wykrzykują handlarze owoców, nawołują przekupnie ryb, wytwórcy mat. Wprost na ulicy leżą rozłożone beły tytoniu, to znów góry ananasów. Tafiemy na jadłodajnie uliczne, to chińską, to malajską. Widzimy walkę atletów malajskich, tancerkę, która tańczy na stole, a widzowie klaszczą w ręce, podniecając ją krzykiem. Tam znów, wewnątrz kwadratowej zagrody, dokoła której tłoczą się rozgorzączkowani widzowie, odbywają się walki kogutów. Jest na co patrzeć, prawda? Ale nie mamy czasu zatrzymywać się. Radża czeka. Mijamy

wielki budynek sądu, w którym radża sędzi swoich malajskich poddanych; i już jesteśmy u wejścia do ogrodu, otaczającego pałac. Przy bramie stoi na straży dwu przybocznych gwardzistów. Wyglądają nieco dziwacznie w kolorowych kaftanach do białych pięt z gołymi mieczami w wyciągniętych przed siebie sztywno rękach. Rzucamy na nich tylko przelotnie okiem, bo oto nadechodzi sam radża. Niosą nad nim jedwabny okrągły pajung, parasol. Za radżą idą gęśiego urzędnicy dworscy. „Tabe, tunkocbesar!“ mówimy i kłaniamy się radży. „Tabe, tuwan Kalinowski“ — odpowiada nam uprzejmie radża, salutując po wojskowemu. Podaje rękę mnie i van Trassenowi. Uśmiecha się do was. I prosi nas do pałacu.

— Czy radża jest młody? — pyta Wacka.

— Trzydziestoletni mężczyzna.

— Ładny? — pyta się znów ta dziewczyna, jakby to kogo obchodziło.

— Beneh Ristra ten Mehar Selar, bo tak się nazywa radża Negri - Lamy, jest przystojnym mężczyzną o inteligentnym wyrazie twarzy. Szczupły, ale dobrze zbudowany, ma postawę kawalerzysty. Służył wojskowo w Holandji, kształcił się w Europie, wiele podróżował, mówi biegle kilkoma językami. Z nami zawsze jednak mówi tylko po malajsku. Ubrany jest zupełnie po europejsku: biały jedwabny strój, jaki noszą wszyscy w tym klimacie, wysokie żółte buty. Gdyby nie to, że na głowie ma okrągłą niską czapkę aksamitną, obwiedzioną

szerokim warkoczem, plecionym ze złtego sznura, niktby się w nim nie domyślił indyjsko - malajskiego księcia. Idziemy z nim na werandę. W tej chwili podają kawę. Popijając wyborną tę kawę, o żywicznym smaku i zapachu, jakiego nie mają gatunki używane w Europie, paląc papicrosy, gawędzimy z miłym, uprzejmym radżą. Powiadamy go o otrzymanej zgodzie rządu na objęcie przez naszą kompanję dzierżawy. Tunkoe Ristra pyta, jak prędko przystąpimy do pracy na nowym terenie? Odpowiadam, że już od jutra rozpocznę ścisłe pomiary, w najbliższych zaś dniach jadę do Singapur po chińskich robotników, kulisów, i natychmiast przystąpię do porządkowania terenu pod uprawę tytoniu. Zamieniamy jeszcze kilka słów z radżą, żegnamy się i wychodzimy. Radża chce nas zatrzymać na śniadaniu. Wymawiamy się brakiem czasu.

— Szkoda! — szepnęła Wacka.

— Jedlibyśmy ten sam reistafel co i w Kalocndangu. Tjoto przygotował już zresztą śniadanie dla nas na statku. Mamy jeszcze jedną obowiązkową wizytę. Musimy być u następcy tronu. Tunkoe Buza byłby na nas śmiertelnie obrażony, gdyby się dowiedział, żeśmy go pominęli. Jest on chorobliwie wrażliwy na hołdy. Wychodzimy więc z ogrodu, otaczającego pałac radży, mijamy znany nam już gmach sądowy. Mamy przed sobą strzelisty budynek. Obok niego drewniana, lekka, przezroczysta wieżyczka. To meczet.

— To Malaje są mahometanie?

— Tak!

— I kobiety chodzą po ulicach z zasłoniętymi twarzami?

— Nie. Wiara Proroka została narzucona siłą Malajom przez arabskich zdobywców, którzy kilkaset lat temu zawładnęli wyspami Sundajskimi. Malaje uważają się za mahometan, ale właściwie wyznają własną, przez siebie wytworzoną religję, która jest zlepkiem dawnych wierzeń i Islamu. Arabowie już nie panują nad wyspami tak, jak przed wiekami, ale nie stracili oni władzy nad ludnością. W każdej niemal wiosce malajskiej można spotkać Araba. Jest to prawie zawsze wyniosły, okazały starzec. Ma na głowie zielony turban, znak, że odbył pielgrzymkę do grobu Proroka. Taki hadzi każe się ludności nazywać Tuwan Arab, pan Arab, pożyczka Malajom pieniędzy na niemożliwie wygórowane procenty, doprowadza do tego, że całe wioski, zadłużone, siedzą u takiego hadzi beznadziejnie w kieszeni. W ten sposób „pan Arab“ zapomocą lichwy opanowuje ludność i ma ją całkowicie w ręku. Tacy hadziowie, muftiowie, tak się nazywają duchowni mahometkańscy, to potężna organizacja! Tunkoe Buza, do którego właśnie idziemy, to ich faworyt. Najchętniej już teraz widzieliby go na tronie radżowskim zamiast Ristry, który się zeuropeizował zupełnie, nie myśli o wi chrzeniach i intrygach, a pragnie jedynie być dobrym gospodarzem swojego kraju. Van Trassen

musi mieć oczy szeroko otwarte, aby muftim nie przyszło czasem do głowy dopomóc losowi i przyspieszyć w ten sposób zmianę tronu. A trzeba wam wiedzieć, że Malaje są mistrzami w przyrządzaniu trucizn.

— Biedny radża! — westchnęła Wacka.

— W tej chwili nic mu jeszcze nie grozi. Chodźmy więc do jego współzawodnika. Przy wejściu do pałacowego ogrodu stoi straż przyboczna. Szlafroki i obnażone miecze. Ponieważ Buza wie o naszej wizycie, więc u wejścia oczekują nas dwaj jego urzędnicy dworscy. Obaj są starzy, brodaci, mają rysy obce. Arabowie. Kłaniają się nam z wyniosłą godnością. Idziemy na werandę. Tunkoe Buza przyjmuje nas, leżąc na wymoszczonym poduszkami leżaku. Ubrany jest z europejska. Ale białe jedwabne ubranie jest pomięte i wygląda tak, jakby je kto psu z gardła wyjął. Na głowie ma czarną czapkę, podobną do tej, jaką miał Ristra. Tylko złoty galon jest nieco węższy. Buza jest gruby, rozlany, bez rysów. Na uszach ma chytry uśmieszek, a w wysadzonych jak u karpia oczach dzikość i krwiożerczość. Wita się z nami ruchem ręki. Złote puzderka, w których chowa swoje paznogie, migają śmiesznie w powietrzu.

— Jako chowa paznogie? — spytał się Antek, a i ja otworzyłem szeroko oczy.

— Na Wschodzie ludzie uważają pracę fizyczną za hańbę. Tunkoe Buza na lewej ręce nie obcinał nigdy paznogi, by okazać, że nie pracuje.

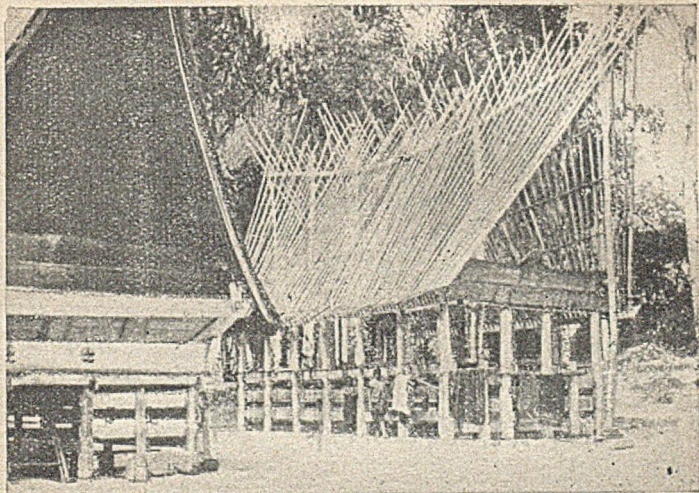


Zeby nie połamać tych zewnętrznych oznak swego dostojnego próżniactwa, chował je w specjalnych futerałach z cienkiej złotej blachy. Kiedy mówiąc wymachiwał rękami, trzeba się było mieć na baczności, żeby nie stracić oka. Podają kawę i papierozy. Jeśli nie chcemy obrazić Buzy, musimy pijąc cmokać głośno. Tak chce wschodnia grzeczność. Gość powinien wyraźnie okazywać gospodarzowi, że to, co u niego je i pije, jest smaczne. Przez chwilę słyhać więc tylko głośne siorbanié moje, Buzy i świty, która stoi w odległości kilku kroków od leżaka i nie spuszcza oczu z Tunkoe. Wreszcie kawa wypita. Buza rzuca swoją filiżankę na ręce któregoś z dworzan, który ją chwyla w locie i z niewypowiedzianą rozkoszą wysącza ostatnie krople napoju po swoim księciu i panu. Nie pytając mnie o nic, następcą tronu zaczyna dłuższe przemówienie, z którego wynika, że moja kompanja wydzierżawiła grunta prawie za darmo, rujnując w ten sposób skarb radżatu. Zaręczam wam, żebyście się znakomicie ubawili, słuchając tego przemówienia.

— Ale my przecież nie rozumiemy ani słowa po malajsku! — powiedział Józek, no i trudno mu było nie przyznać słuszności.

— Bawilibyście się nie tem, co mówił Buza, ale tem, co robiła świta! Wyobraźcie sobie z pięćdziesięciu ludzi stojących jeden przy drugim półkolem, wpańrzonych w następcę tronu. I wykonywających, jak na komendę, te same ruchy, wydają-

cych te same okrzyki oburzenia, zdziwienia, pogardy, czy zachwytu! Wiem, że urządzacie w szkole zbiorowe deklamacje. Otóż wyobraźcie sobie taką zbiorową deklamację do słów następcy tronu, wykonywaną przez kilkudziesięciu ludzi naraz. Ludzie ci grają teatr dlatego, żeby się przypodobać swemu panu, grają go więc z przejęciem, starają się przesadzić w ruchach i wykrzyknikach, choćby po to, by zwrócić uwagę pana na siebie! Powiadam wam, widywałem te przedstawienia dość często i za każdym razem dusiłem się od tłumionego śmiechu, patrząc na błazeństwa tych drapichrustów! Ale dość tego! Wysłuchaliśmy przemówienia Buzy, obliczonego na to, by pokazać, jak złym gospodarzem jest jego brat. Tyle lat przyglądam się radzył! Wiem, że jest to mądry i zapobiegliwy rządcą. Znam Bużę, wiem, co w trawie piszczy, i dlatego nie odzywam się ani słowa. Do bram pałacowego ogrodu odprowadza nas tym razem ze trzydzieści osób. Idą oni za sobą gęsiego, jeden za drugim. Ale nie myślcie, że odprowadzających jest więcej, niż jedna osoba! Honory domu czyni nam tylko szlachetny Tjitro, marszałek dworu. Reszta to jego służba i służba jego służby, ustawiona według rang, jakie zajmują na dworze. Ostatni ukłon. Teraz prędko na statek. Tjoto już czeka ze śniadaniem. Jemy je na pokładzie. Syrena. Ruszyliśmy. Zostawiamy za sobą smugę dymu i kął fal, który żłobi dziób statku na spokojnej, lustrzanej wodzie rzeki.



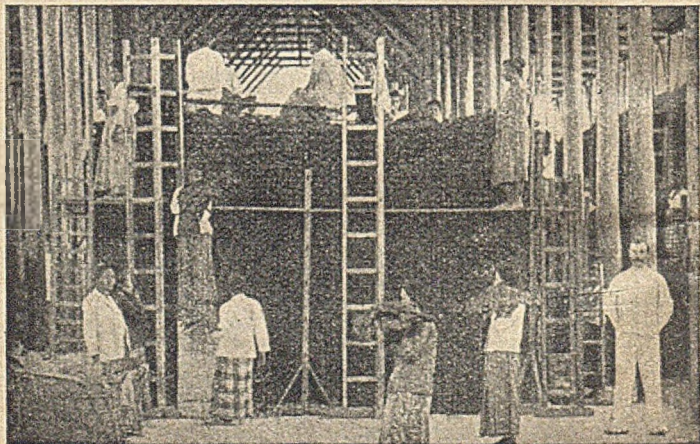
Budowa domu



Nowa plantacja



Tytoń



Tytoń fermentuje

#### IV

— W domu zastajemy już pana Mathisa, Francuza, pracownika kompanji, którego specjalnością jest dokonywanie pomiarów. Omawiamy z nim pracę, jaką trzeba wykonać. Zaraz ze wschodem słońca wyruszy on do nowo wydzierżawionych terenów. Zabierze ze sobą dziesięciu ludzi do pomocy. Pan Mathis prosi, żeby mu pozwolić wziąć ze sobą małego Duko, syna nosiwody, toekan ajara, który dźwiga wodę z rzeki na naszą kąpiel! Duko ma lat piętnaście. Nigdy nie chodził do szkoły, nawet nie słyszał o tem, że na świecie są jakieś szkoły. Ale jest tak sprytny i zdolny, że wystarczy mu raz pokazać jak się co robi, a każdą rzecz potrafi wykonać bez błędu. Nie chciałem się zgodzić na to, żeby zabierać chłopca na kilka dni do puszczy. W ostatnich czasach znów się słyszało o tygrysach. Widziano je to tu, to tam. Ale pan Mathis tak mnie prosił, brał zresztą na siebie odpowiedzialność za życie i zdrowie chłopca, że się zgodziłem. Położyliśmy się spać. O świcie ruszamy do Singapur. Po robotników chińskich, kulisów. Dobrze?

— To my się napodróżujemy, proszę pana — zaśmiała się Wacka.

— Odpoczniecie sobie, odpoczniecie, ale wtedy, kiedy na nowej plantacji posadzimy już tytoń. Wówczas będziemy mieli czas. Wyruszymy na wizyty. Do pana Amonado, na plantacje kawy i do Radża - Bekar, obejrzyć plantacje herbaty. Tym-

czasem jedziemy do Djawi - Djawi, wdół rzeki. Na redzie już czeka na nas okręt, wynajęty przez kompanję na tę podróż.

— Cały okręt? — zdziwił się Antek.

— Przywieziemy ze sobą około tysiąca ludzi. Tylu chińskich robotników potrzeba będzie dla nowej plantacji. Musimy mieć statek o poważnej pojemności, żeby zmieścić taką liczbę pasażerów, prawda? Przypływamy więc do Djawi - Djawi. Czekają tam już dozorczy chińscy, którzy z nami pojedą do Singapur. Ledwie tylko wyszliśmy z naszego parowca, a już nas witają dwaj Chińczycy o kamiennych, zimnych twarzach, kłaniają się urzędowo i, trzymając notesy w rękach, pyłają: ilu kulisów mamy zamiar zatrudnić w naszej nowej plantacji? Jak kompanja ma ich opłacać? Czy pobudowano już baraki dla nowych robotników? I t. d. Dwaj pytający Chińczycy to kapitan i porucznik, tak ich tu wszyscy nazywają. Nie mają oni jednak nic wspólnego z wojskiem, natomiast z ramienia rządu chińskiego rozciągają opiekę nad robotnikami chińskimi. I, trzeba przyznać, obowiązki swoje spełniają bardzo sumiennie. Czy na ich opiece dobrze wychodzą kulisi, to inna sprawa. Ale, że kierownictwo plantacji ma nieraz krzyż pański z kapitanem czy porucznikiem, to więcej, niż pewne. Doświadczyłem tego niejednokrotnie na własnej skórze. Powiedzieliśmy Chińczykom, co wiedzieć chcieli. Kazaliśmy tendlerom, dozorcóm chińskim, by przed zachodem słońca byli na statku. Jesteśmy

wolni. Mamy kilka godzin czasu. Dokąd chcecie iść? Możemy obejrzeć sklepy — albo pójść do teatru.

— Sklepy, sklepy! — dopominała się Wacka. Ja i Antek woleliśmy iść do teatru. Pan kapitan powiedział:

— Pójdziemy najpierw do teatru, dobrze? Do sklepów wstąpimy wracając.

— Jak tu iść do teatru, kiedy przecież jest dzień! — upierała się Wacka.

— Przedstawienia w teatrach malajskich rozpoczynają się o ósmej rano i trwają bez przerwy do drugiej w nocy. Widzowie przychodzą do teatru całymi rodzinami, nawet niemowlęta przy pierśi zabierają ze sobą. Po dwadzieścia i trzydzieści razy tego samego dnia wysłuchują tego samego przedstawienia. Jedzą, palą, żują betel, to znaczy pieprz, zmieszany z wapnem, tłoczą się w ciasnej sali, gdzie jest taki zaduch, o jakim pojęcia mieć nie możecie!

— A co grają w takim teatrze? — pyta Józek.

— Właściwie jest to inscenizacja starych legend. Jeden aktor je opowiada, a inni przy pomocy ruchów pokazują to, co osoby działające w legendzie czynią.

— Czy to ciekawe? — dopytuje się Antek, który nie lubi przedstawień szkolnych, bo mu się nigdy dotychczas nie udało nauczyć dłuższego wiersza bez błędu.

— Dla nas, Europejczyków, przedstawienia te

ł mało zajmujące. Wystarczy je zobaczyć raz. Ale skoro już jesteśmy w malajskim teatrze, to się tak prędko nie wydostaniemy.

— Dlaczego?

— Bo ledwieśmy weszli do sali, już w niskich ukłonach sady ku nam dyrektor i właściciel teatru. Uroczyście zaprasza nas na honorowe miejsce, to jest na scenę. Idziemy. Siadamy. Ciasno jest niemożliwie. Aktorzy machają nam mieczami przed samym nosem. Walcząca para wpada pomiędzy nas. Toczymy się po scenie, aż do ściany. A na widowni ryk! Malaje aż się za boki trzymają ze śmiechu, tak im się podoba nie to, co pokazują aktorzy, ale nasze starcie z aktorami, którzy się miotają, jak opętani. Chcemy wyjść. Dyrektor zaklina nas świętymi słowami, żeby zostać. Publiczność już się zwiedziała, że w teatrze są Europejczycy, i wali cieżbą na to widowisko. Dyrektor już podwoił cenę wstępu. Więc zależy mu bardzo na tem, żebyśmy zostali. Uspokaja aktorów. Ci robią miny obrażone. Ujmuje się za nimi publiczność. Robi się narmider taki, że się nie słyszemy nawzajem. A tu zaduch, aż w głowie kręci. Mamy dość. Wychozimy. Dyrektor chwyta się za głowę, prosi, zaklina, żeby zostać. Odsuwamy go i przepychamy się przez ludzki gąszcz. Uf! Nareszcie trochę powietrza!

— Idziemy teraz do sklepów, prawda? — powiada Wacka.

— Przejdziemy się najpierw po tej części ryn-



ku, gdzie rozłożyli swój towar malajscy rzemieślnicy. Oglądamy tam przepiękne batiki, kute w mosiądzu i miedzi naczynia, wyroby z koralu czy kości słoniowej. Pokazują nam krissy, to jest krótkie miecze o ostrzu prostym, albo płomienistym, a głowni zakończonej głową złośliwego demona. Pokażę wam później to wszystko, co można dostać u rzemieślników malajskich. Tu, w tej długiej szopie, rozsiadł się kupiec chiński. W jego sklepie dostaniecie wszystko, co chcecie.

— A polską książkę?

— Właśnie. I polską książkę. Ten-Dziń-Szeń miał sklep w Djawi - Djawi, u mnie zaś, na plantacji, filję. Trzeba wam wiedzieć, że na plantacjach, gdzie pracuje po kilka tysięcy ludzi, są sklepy chińskie i malajskie, w których robotnicy mogą zaopatrzyć się we wszystko, co im jest potrzebne. Otóż Ten-Dziń-Szeń, jak zresztą każdy kupiec chiński, miał w swoim sklepie wszystko. Jeśli czego nie miał, nie słyszał nawet nigdy o tem, czego od niego żądano, odpowiadał, że, niestety, właśnie mu zabrakło, ale za kilka tygodni będzie miał. Kiedyś, tak dla żartu, powiadam do Ten-Dziń-Szenia, że chciałbym mieć polską książkę. — Saja — mówi chińczyk i kiwa głową. Za dwa tygodnie przyniósł mi jego boy pięknie oprawny egzemplarz Pisma Świętego po polsku! Tacy są chińscy kupcy! Handlują oni po mistrzowsku wszystkim, nawet ludźmi.

— Jakto ludźmi?

— A czy myślicie, że „Gencralna agentura dla zatrudnienia robotników Me-Te-Tse et Co“, do której się udajemy w Singapur po kulisów, to nie jest wielki handel, wielki sklep ludzkiej nędzy? Czy pan Me, który nas przyjmuje w swoim gabinecie, odziany w czarny jedwabny kaftan, z warkoczem okręconym około szyi, nie traktuje kulisów tak, jak Ten-Dziń-Szeń powróż konopny, który sprzedaje w swoim sklepie? Pan Me nie nazywa kulisów inaczej, jak towarem. Proponuje nam, że mu zapłacimy głowa w głowę za każdego kulisa sto dolarów meksykańskich, to jest około trzechset złotych, że nie będziemy przebierać i weźmiemy taki towar, jaki się panu Me spodoba nam dostarczyć.

Parskamy mu w nos i zaczynamy targ. Trwa on całe trzy godziny. Pan Me pod koniec płacze. Przekonywa mnie, że jego dzieci umrą z głodu, jeśli się zgodzi na moje warunki. Ja go przekonywam, że swej strony, że jeśli się zgodzi na to, co mu proponuję, będzie miał za co jadać młode myszki smażone w miodzie. Pan Me udaje omdlenie, ale się godzi. Stało więc na tem, że ja płacę za kulisa siedemdziesiąt dolarów firmie Me-Te-Tse et Co, która od siebie każdemu kulisowi, wyjeżdżającemu ze mną na moje plantacje, wypłaci trzydzieści dolarów do ręki. Rozumie się, że wyboru kulisów dokona p. dr. Bryce, już poprzednio przeze mnie umówiony.

— Nic nie rozumiem — powiada Józek, a i my

spoglądamy na siebie z Antkiem i też nic nie rozumiemy.

— Widzicie, w północnych Chinach bywają częste głody. Ludność ucieka wówczas z Północy na Południe, gdzie spodziewa się łatwiejszych warunków życia. Szuka tam pracy. Na takich wygłodzonych nędzarzy czyhają agenci - werbownicy. Oni to dostarczają towaru dla firm w rodzaju Me-Te-Tse et Co, najsolidniejszej zresztą agencji tego rodzaju w całym Singapur. Panu Me zależy na tem, aby od kompanji za każdego kulisa wziąć jak najwięcej, wypłacić kulisowi z tego, co otrzyma, jak najmniej. Różnica stanowi zarobek agencji. A wiecie, kto opłaca pana Me? Sam kulis. Kompanja, wynajmując takiego nieszczęśliwca, zawiera z nim kontrakt, w którym cała suma zapłacona agentowi, w tym wypadku firmie Me-Te-Tse et Co, figuruje jako dług kulisa, dług, który kulis musi odpracować. Rozumiecie więc teraz, że targując się z panem Me, działaliśmy też w interesie kulisów, zupełnie pozbawionych opieki, wydanych na łup chciwości panów Me-Te-Tse et Co i innych swoich rodaków. Pan kapitan i pan porucznik, o których już wam wspomniałem, ci, których spotkaliśmy w Djawi-Djawi, nie interesują się zupełnie tem, co robi pan Me. Zawsze mi się zresztą zdawało, że pomiędzy tymi dwoma panami i firmą Me-Te-Tse et Co istnieje ciche porozumienie, które biednym kulisom wcale nie wychodzi na dobre. No, ale dość o tem. Po ubiciu targu, pan Me wyciąga z kieszeni

olbrzymi pęk kluczy i jednym z nich otwiera okute drzwi, prowadzące do olbrzymiej krytej szopy. Na pryzkach, matach, ławkach pełno ludzi. Przepychamy się przez załoczone przejście, pan Me otwiera nowe drzwi, znów taka sama szopa, i jeszcze, jeszcze. Nareszcie wychodzimy na zamknięty wysokim murem dziedziniec. Prowadzą z niego małe drzwi, tak wąskie, że tylko jeden człowiek może się przez nie z trudnością przecisnąć, do innego, obszerniejszego podwórza, gdzie czeka już tendel-besar (główny dozorca robotników chińskich) i jego pomocnicy, którzy przyjechali z nami z Kaloendangu. Teraz rozpoczyna się najuciążliwsza praca: wybór kulisów. Panowie Me-Te-Tse et Co starają się nam wsadzić co najgorszych cherlaków, dr. Bryce zaś odrzuca wszystkich kandydatów do trumny, czy do szpitala. Każdy przyjęty przez dr. Bryce'a kulis przechodzi przez małą furtkę i dostaje się w ręce naszego tendel - besara, natomiast każdego odrzuconego służba agenta odprowadza do szopy i zamyka na klucz, jak więźnia. Pozostaje on tam istotnym więźniem agencji tak długo, dopokąd go ktoś nie wykupi, biorąc do pracy. Agencja liczy za utrzymanie takiego nędzarza olbrzymie sumy i stąd narastają długi biednego kulisa do zawrotnych sum.

— Biedni ci kulisi — westchnęła Wacka.

— Bardzo biedni — zgodził się pan kapitan.— Pracując na plantacji, nie pobierają oni żadnej zapłaty. Płaci im się za wyhodowany przez nich ty-

toń. Jeżeli urodzaj jest dobry, kulisowi po zapła-  
ceniu długów pozostaje jeszcze nieco dolarów w  
kieszeni. Ale zato w latach nieurodzaju, dług ta-  
kiego nieszczęśliwca wzrasta do tego stopnia, że  
traci on nadzieję na spłacenie go. I wtedy zaczy-  
na się masowa ucieczka kulisów z plantacji.

— A dokąd oni uciekają?

— Gdziekolwiek uciekają, zawsze ostatecznie  
znajdą się zamknięci w szopie panów Mc-Te-Tse et  
Co, albo jakichkolwiek innych handlarzy ludzką  
pracą. Ale jak się takiemu kulisowi poszczęści  
i zbierze trochę dolarów...

— To co?

— To natychmiast sam staje się kupcem,  
przedsiębiorcą i tylko myśli o tem, żeby...

— Żeby co?

— Żeby zatrudniać u siebie chińskich kuli-  
sów, moje dzieci. Chińczycy to ludzie mocni, wy-  
trwali, bezwzględni dla siebie i innych. Swojami  
przedsiębiorstwami handlowemi opanowali oni ca-  
ły Wschód. Gdzie wcisnął się Chińczyk, jako ku-  
piec, tam niema miejsca dla kogokolwiek innego.  
Ale wracajmy do domu. Już nie byliśmy u siebie  
kilka długich dni. Niewiadomo, co się mogło zda-  
rzyć podczas naszej nieobecności.

— Klara zjada psa! — zaśmiał się Józek.

— Klara nie jada psów, tylko szczury. Ale  
nie o Klarę nam chodzi, ani o psy. Pamiętajcie, że  
z panem Mathisem poszedł na pomiary do puszczy  
mały Duko. O tego jesteśmy niespokojni, prawda?

Jest on wprawdzie sprytny, ale kto może wiedzieć, co przyjdzie do głowy piętnastoletniemu chłopcu?

— O mnieby się pan kapitan nie potrzebował niepokoić — wyrzucił z siebie Antek jednym tchem i poprawił się na ławce.

Pan kapitan spojrzał na niego, ale nie powiedział nic. Nam się zrobiło nieprzyjemnie. Bo też ten Antek! Nic, tylkoby się chwalił. Przecież on nie wie, co się może przytrafić w takiej podzwrotnikowej puszczy! A zaraz opowiada, że niby to on taki dzielny, nieustraszony i przezorny! A tchórz! Jak kiedyś zawieruszył się w lesie, gdzie przecież żadnych dzikich zwierząt niema, i o zmroku sam musiał wracać do domu, to się tak bał, że jeszcze mu zęby latały, jak go Józek Kornecki w mieście spolkał.

## V

— Otóż ledwie znaleźliśmy się w Djawi-Djawi i przesiedliśmy się na nasz mały parowczyk rzeczny — mówił pan kapitan — a już Tjoto nam zameldował, że, niestety, nasze obawy nie były bezpodstawne. Mały Duko, poszarpany przez tygrysa, walczy ze śmiercią w szpitalu.

— O mój Boże! — jęknęła Wacka. — A widzisz! — syknęła z wymówką do Antka. Ten już był gotów do zagadywania, jak to on zawsze. Ale musiał mu Józek dać sujkę, żeby milczał, bo odsunął się nagle od niego.

— Natychmiast po przyjeździe do Kaloendangu idziemy go odwiedzić. Szpital jest tuż koło naszego domu. Chłopiec jest nieprzytomny. U nóg jego siedzi w kucki stary toekan-ajar, jego ojciec, i zawodzi zcicha. Dr. Bryce ogląda chłopca. Duko ma głęboką ranę w boku i odartą do kości prawą nogę. Muszę wam powiedzieć, że rany w klimacie podzwrotnikowym są nieporównanie niebezpieczniejsze, niż tu, u nas. Byle zadrapanie jątrzy się długo i boleśnie. Dr. Bryce kiwa głową, ma minę niepewną. Pytam go, co myśli! — „Hm — powiada — Europejczyk nie wytrzymałby tych ran. Co innego Malaj. Niech mu toekan-ajar w dalszym ciągu przykłada tę papkę z ziół. Może chłopiec wydobrzeje“.

Malaje znają znakomicie siłę leczniczą ziół. Okłady, stosowane przez ojca Duko, działały wybornie.

— Wyzdrowiał?

— Po trzech tygodniach już chodził. Gorzej było z Mathisem.

— To i jego napadł tygrys?

— Mały Duko stał w odległości kilkunastu metrów od Mathisa. Nagle Mathis usłyszał krzyk. Spojrzał. Duko zniknął. Wyciągnął więc rewolwer i pobiegł co sił w stronę, skąd go doszedł krzyk chłopca. Zobaczył tygrysa, wlokącego Duka na sobie. Strzelać do zwierza nie mógł, obawiał się ranić lub nawet zabić Duka. Strzelił więc tylko kilka razy w powietrze. Nadbiegło kilku ludzi.

„Rimaaa“ — krzyknął Mathis, biegnąc za bestją, unosząc chłopca. „Ara ati!“ — wrzeszczeli Mala-je, starając się przedewszystkiem nastraszyć tygrysa. Zwierz zatrzymał się. Rzucił chłopca. Skoczył do Mathisa, przewrócił go. Już, już życie Fran-tuza wisiało na włosku! Widział straszne kły przed samemi oczyma! Ktoś strzelił. Nie zabił wpraw-dzie tygrysa, ale osmalił mu pysk. I przestraszył. Tygrys jednym skokiem przesadził przez osacza-jących go ludzi i zniknął w puszczy. Mathis miał kilka żeber złamanych i cały był potłuczony. Trzy miesiące leżał w szpitalu, zanim jako tako przy-szedł do siebie.

— A co z tygrysem?

— To pytanie było i dla mnie najważniejsze. Tygrysy, pożeracze ludzi, trzymają się przez dłuż-szy czas tych samych miejscowości. Pozbyć się ich można, albo zabijając je, albo wystraszając jakąś wielką obławą. Byłem pewien, że ten tygrys bę-dzie się wałęsał długo koło plantacji. Zakazałem więc jak najsurowiej wychodzić z domów po za-chodzie słońca. Wzmocniliśmy straż przy staj-niach koni. Słonie na noc zamykano w zagrodze-niu, ale nie przywiązywano ich za tylną nogę do pni, jak to się robiło zazwyczaj.

— To pan miał słonie? — spytał Józek. — Raz widziałem tylko słonia. Bardzo mi się podobał. Taki był miądry.

— Ze słoniami spotkamy się jeszcze. Słoni nie wiązaliśmy na noc do słupów, żeby im zоста-



wić większą swobodę ruchów. Tygrys, gdyby się przypadkiem dostał pomiędzy słonie, byłby zgubiony.

— A co będzie z nami, panie kapitanie? — spytała Wacka.

— Ani na krok z domu, moje dzieci. Zjadacie prędko obiad i do swoich pokoi. Nawet na werandę was puścić nie mogę.

— To możeby już zrobić obławę na tego tygrysa? — powiada Józek.

— I ja tak myślałem. Tem bardziej, że ciągle o nim dochodziły mnie wieści. Były one nieraz sprzeczne, często nieprawdopodobne. Jedno z nich jednak wynikało jasno, a mianowicie to, że tygrys był gdzieś niedaleko. Aż tu któregoś wieczora, dawnoście już spały...

— Ja nie — powiada Wacka. — Ja na pewno nie mogłam spać.

— Wracam ze szpitala do domu. Sztucer trzymam w pogotowiu do strzału. Za mną biegną wszystkie psy, oprócz doga, Kinga.

— A gdzie był King?

— Zostawiłem go w domu. Księżyc świecił tak, że cień domu zasłaniał schody na werandę. Wstępuję na stopnie. Już stoję na werandzie. O pół kroku ode mnie przesuwa się King. Ale zamiast się przywitać ze mną, jednym skokiem przesadza schody i już jest na ziemi. Obracam się, patrzę — to tygrys!

— Ojej! — krzyknęła Wacka.

— Zanim się skrył w cieniu, zdążyłem strzelić.

— Zabił go pan?

— Nie. Ale jakimś cudem udało mi się go zranić.

— No i co?

— Na odgłos strzałów nadbiegli ludzie. Kazałem Sikro i policjantom natychmiast przeszukać zarośla. Ktoś zauważył krwawe ślady. Mielśmy więc trop. Sikro dobrał sobie jeszcze kilkunastu ludzi dobrze uzbrojonych. Zapalili pochodnie i cała wyprawa ruszyła w las. Trzy dni i noce trwała oblawa. Ludzie powrócili z niej zziębnięci, zmęczeni...

— Ale zabili tygrysa?

— Pokażę wam skórę tego rima. Wysławszy pogoń za tygrysem, powróciłem do domu. Tjoto niósł przede mną pochodnię. Tuż przy wejściu na werandę zobaczyliśmy biednego Kīnga. Miał prze-gryzione gardło. Jak to się stało, że tygrys wdarł się na werandę, zabił mi psa i nikt tego nie usłyszał, nie zauważył — tego do dziś dnia pojąć nie mogę. Rozumiecie teraz, dlaczego kazałem wam zaraz z nastaniem ciemności nie wysuwać nosa z pokoju?

— Ja rozumiem — szepnęła Wacka, a i Antek kiwnął głową, że nie ma nic do powiedzenia.

## VI

— Teraz, gdy pozbyliśmy się już zmory stale wiszącego nad nami niebezpieczeństwa, zabierzmy

się do plantacji. Grunt, poprzednio już wymierzony, należy oczyścić z drzew, wykarczować i przygotować pod uprawę. Mendan - besar, dozorca malajskich robotników, zbiera swoich ludzi, zabiera wszystkie siedem słońi..

— Słoni? Poco?

— Słoń jest nieocenionym pracownikiem przy karczowaniu puszczy. Mniejsze drzewa wrywa z korzeniami bez żadnej pomocy. Pomaga przenosić większe, które zetną i obalą tracze. Pracuje niezwykle wytrwale, równo, spokojnie. A mądry jest, powiadam wam, bodaj czy nie mędrszy od niejednego człowieka! Pokazać słońiom miejsce, gdzie należy składać pnie drzewne, to można być pewnym, że je ułożą same tak, jakby to nikt lepiej od nich nie zrobił. Słonie lubią pracować w towarzystwie ludzi. Podnieca je zgiewk, gwar. Zacie- trzewiają się w pracy. Schodzą z roboty ostatnie, zawsze wtedy, gdy ludzie ustąpią już dawno. Są to zwierzęta miłe, dobre, łagodne, przywiązują się bardzo do ludzi wogóle, a szczególnie do swoich przewodników. Rozumie się, o ile nie spotka ich ze strony ludzkiej jakakolwiek krzywda. O, wtedy się mszczą. Po kilka lat pamiętają zło sobie wyrządzone. Pamiętam, jak jeden Chińczyk omal życiem nie przypłacił tego, że przed dwoma niemal laty ukłół boleśnie kolcem rotangu słońia w trąbę!

— A można się ze słońmi bawić? — spytała Wacka.

— Nie odstępowałybyście Alego. Poczciwe

to słonisko, o ile nie było innej roboty, pracowało koło domu. Z dobrej woli. A raczej przez przyjaźń dla toekan-ajara, ojca Duki. Zobaczył on kiedyś, jak toekan-ajar dźwigał kubły wody z rzeki poto, by je wylać do wielkiego cementowego zbiornika niedaleko kuchni. Poszedł za nosiwodą raz, drugi. Wreszcie wyjął mu wiadro z ręki i z niezwykle poważną miną zaczął dreptać równym, wymierzonym krokiem do rzeki i zpowrotem, niosąc wiadro w palcu trąby. Później zajął się noszeniem drew, wywożeniem odpadków małym wózkiem, k'óry popychał przed sobą. Zadne było słonisko! A zawsze mu się małe, świńskie oczka mrużyły figlarnie, a cała gęba wyglądała tak wesoło, jakby się śmiał. Najzabawniejszy jednak był stosunek, jaki łączył Alego z Łobuzem.

— Tym foksem?

— Właśnie. Foks lubił Alego. Ale mu dokuczał. Obszczekiwał go, na niby rzucał się z zębami do jego trąby, wyczyniał słoniowi prawdziwie psie figle.

— A słoń?

— Ali wiedział dobrze, że foks wyprawia psikusy. Uśmiechał się do Łobuza całą gębą i robił swoje, jakby wcale psa przy nim nie było. Co nie przeszkadzało, że codzień o tej samej porze sprawiał psu lanie.

— Bił go trąbą?

— Uważajcie. Zjedliśmy właśnie reistafel i przeszliśmy na zewnętrzną werandę. Patrzy-

my — toczy się Ali. Niesie przed sobą wiadro pełne wody. Że jest ono dla niego lekkie, jak piórko, więc buja niem gdzieś wysoko, tuż przy głowie. Łobuz, jak strzała, zlatuje z werandy i do Alego. Słoń ani o to dba. Idzie, potaczając się z wdziękiem grubasa, który postanowił sobie być lekkim w tańcu. Poszli za dom. Wracają. Ali wymachuje pustym wiadrem wysoko nad głową. Foks aż chrypi, tak ujada. Za chwilę wracają od rzeki. Nagle Ali się zatrzymał. Postawił wiadro na ziemi. Opuszcza doń trąbę. I cofa się. Foks zobaczył wiadro. Ciekawy jest, co tam może być? Więc się ostrożnie zbliża. Zagląda. I dostaje wtedy strumień wody z trąby Alego wprost w nos! Ucieka! A Ali kiwa głową, śmieje się od ucha do ucha. Bierze wiadro i wraca do rzeki. I tak było co dnia. Ale jak kiedyś Łobuz wpadł do dołu i nie mógł się z niego wydostać, Ali póty się kręcił koło głębokiej jamy, póty ugniałał wkoło ziemię, aż wreszcie schwycił psiaka trąbą i wyciągnął.

— Pewnie go zato Łobuz polizał, prawda? — spytała Wacka.

— Tego już nie wiem, bom nie widział. Teraz niema Alego. Łobuz tęskni za nim i szuka go. Biega do rzeki i zpowrotem, węszy, zagląda do stajni słońi.

— A gdzie jest Ali? — pyta Antek, jakby nie wiedział, że wszystkie słońie zajęte są przy karczowaniu puszczy.

— Kiedy Ali powróci do swej stajni — mówił

pan kapitan dalej — będzie to znak, że karczowanie puszczy skończone. Wtedy przesiedzimy kilka wieczorów na werandzie. Będziemy mieli przed oczyma widok łącie wspaniały.

— W nocy?

— Tak, w nocy. Wszystkie drzewa zostały ścięte. Karczce, to jest pnie z korzeniami, wyrwane z ziemi. Cenniejsze sztuki drzew wywlokły już poczciwe słonie na specjalne miejsca, oddalone od nowiny, to jest karczowanego terenu. Cały olbrzymi ścięty bór schnie już od kilku dni. Gdy z cmentarzyska puszczy zeszedł już zastęp robotników, zajętych trzebieniem, mendan-besar wysłała kilkunastu ludzi. Ci w różnych miejscach olbrzymich zwałów drzew podkładają ogień. Możecie sobie wyobrazić pożar wysuszonego drewna, nagromadzonego w takiej ilości, o jakiej nasze lasy nie dają najmniejszego pojęcia? Bo puszcza podzwrotnikowa to gąszcz, przez który niepodobna się przedrzeć, a drzewo pięćdziesięciometrowej wysokości nie należy do wyjątków! Te olbrzymie masy drewna płoną! Łunę widać na kilkanaście kilometrów dokoła!

— A nie szkoda to palić tyle drewna? — spytał Antek. — Jaby...

— Antek przestań! — burknęła na niego Wacka. Pan kapitał spojrział na nią, uśmiechnął się i powiedział:

— Tym razem Antek nie zasłużył sobie na wymówkę. Ma zupełną słusność. Rozumie się,

jeżeli nie brać pod uwagę odmiennych warunków u nas i tam, pod zwrotnikami.

— Bo nam pan kiedyś mówił, że las to bogactwo narodu, że niszczenie lasu, to wielka krzywda dla kraju, że i tak już dość zmarnowano lasów u nas — mówi jednym tchem Antek, a cieszy się, że pan kapitan stanął po jego stronie.

— Niezawodnie, niezawodnie, mój chłopcze. U nas, w Polsce, szkoda każdego zmarnowanego drzewka. Lasów mamy znacznie mniej, niż ich mieć powinniśmy. Dlatego musimy zalesiać огоłone przez marnotrawną gospodarzkę obszary. A sadzenie lasu, to kosztowna rzecz! Zupełnie jednak inaczej jest pod zwrotnikami. Tam trzeba z lasem walczyć. Puszcza wdziera się wszędzie, gdzie się przed nią człowiek niedość silnie broni. Las wyrasta, jak na skinienie różdżki czarnoksiężkiej. Gdyby nie malajscy robotnicy, którzy są na plantacji specjalnie do walki z puszczą, nie byłibyśmy w stanie wyhodować tytoniu. Musimy bronić plantacji przed wszystko zarastającym lasem. Rozumiesz, że przy takim dostatku drewna, niema ono prawie żadnej wartości. W każdym bądź razie wartość spalonego przez nas drewna była znacznie mniejsza, niż cena ludzkiej pracy, w razie gdybyśmy chcieli użytkować jakkolwiek powalone drzewo. Zresztą, jak już wam mówiłem, słonie odniosły na plantację lepsze sztuki, przeznaczone na budulec. Cóż w tych warunkach moglibyśmy zrobić innego z drzewem, jak je spalić? Zrozumiałeś, chłopcze?

— Zrozumiałem, proszę pana — bąknął Antek, no i dłuższy czas już się nie wrywał z tem, co by to on zrobił, gdyby zrobił, jak to on zawsze.

— Pożar zgasł. Przynajmniej wieczorami już nie widać łuny. Niech wam się tylko nie zdaje, że wszystkie drzewa już są popiołem. Niektóre olbrzymy puszcy żarzyć się będą jeszcze parę tygodni, zanim się rozpadną w proch.

## VII

— Przez pożar puszcy wstrzymuje się praca na plantacji, prawda? — pyta się Józek.

Pan kapitan się zaśmiał.

— Przeciwnie, mój chłopcze! Teraz jest okres najbardziej może wytężonej pracy, ale dokonywa się ona zupełnie gdzie indziej. Każdy robotnik chiński, pracujący na starej plantacji, jako pomocnik, przeglądany jest nawskroś. Wybiera się z nich najlepszych, najbardziej zdolnych. Ci wybrani przebijają znów pomiędzy tymi, których dopiero co przywieźliśmy od pana Me. Tendlerzy mają urwanie głowy.

— Tendlerzy, to dozorczy robotników chińskich, tak?

— Tak, chłopcze. Nareszcie tendlerzy wybrali już spośród dawnych pracowników plantacji tych, którzy byli dotychczas pomocnikami, a teraz mają być samodzielnymi plantatorami. Jest ich pięciuset. Dobierają sobie oni z nowych kulisów



pomocników. Reszta nowych, również pięciuset, będzie pomocnikami przy starych, wytrawnych robotnikach na dawnych plantacjach. Jednocześnie w szkółkach przeglądają i sortują sadzonki. Wszystko gotowe. Niech tylko ostygnie nowy teren, zaraz rozpoczyna się praca. Przyglądacie się tym przygotowaniom, ale sądzę, że więcej was interesuje sklep Fu-Tsao, chińskiego kupca. Przesiadujecie u niego. Fu-Tsao wie, że jesteście moimi gośćmi. Robi wszystko to, do czego chiński kupiec jest zdolny, by wam pobyt uprzyjemnić. Skąd on wy dostał takie znakomite czekoladki, któremi was częstuje, to jego tajemnica. Albo skąd ma płyty, które zmienia co chwila w swoim amerykańskim gramofonie? Huczy w jego sklepie, jakby z tuzin orkiestr wojskowych wam przygrywało. Pokazuje on wam chińskie zabawki - lamigłóWKi, sztuki magiczne. Słowem, macie używanie u Fu-Tsao. Wy-rwać stamtąd was niepodobna.

— A jak my z nim mówimy?

— Po malajsku. Mówiłem wam, że to jest język dziwnie łatwy, więc, sądzę, zdążyliście się go już nauczyć. Nareszcie dają nam znać, że można już zacząć działać na nowym terenie. Ruszamy.

— Idziemy?

— O, to za daleko. Jedziemy konno.

— Ja na Alim! — woła Wacka.

— Wprawdzie nikt dotychczas na słońcu u nas na plantacji nie jeździł. Ale jeżeli ci bardzo na tem zależy, moja maleńka, to owszem, jedź. Tyl-

ko musisz się zgodzić na to, że nie pojedziesz w palankinie, to jest w koszu na grzbiecie słonia, ale tak, jak jeździ na słoniu jego kanak, przewodnik, okrakiem na karku. Wątpię, czy ci się ta jazda wyda specjalnie wygodną. Lepiej, wiesz, siadaj na konia.

— Kiedy ja nigdy nie siedziałam na koniu — broni się Wacka.

— Jakoś dasz sobie radę. Mamy konie spokojne. Zresztą poprowadzi ci konia który z boy'ów, naszych służących. Dobrze? No, to jazda. Przyjechaliśmy. Na nowej plantacji wre praca. Już wytknięto szerokie drogi, które pocięły cały teren na osobne pola. W środku nowej plantacji, tam, gdzie widać obszerny pusty plac, już stawiają baraki dla kulisów. Pan Fu-Tsao, wasz przyjaciel, już buduje filję swojego sklepu. Naprzeciwko Malaj Dobi kleci z bambusu halę, w której będzie miał gospodę i sklep dla swoich rodaków. Kulisi, już podzieleni na pary, dzielą rowami wielkie pola na równe, drobne działki.

— Jakto podzieleni na pary?

— Kulisi pracuje ze swoim pomocnikiem. Dostają oni działkę, którą uprawiają wspólnie. Już teraz wynikają spory pomiędzy poszczególnymi parami o to, jaką wybrać działkę. Na nic się to nie zda. Tandler - besar wyznaczy każdej parze działkę według kolejności zapisów w rejestrze kulisów i kolejności znaczenia działek. Odtąd każda para pracuje na swojej działce. Ponieważ ziemia pełna jest splątanych ko-

rzeni, nie można jej więc orać. Kulis i jego pomocnik spulchniają swoją działkę łopata i motyką. Jest to praca wyjątkowo uciążliwa. Gleba na głębokość metra musi być oczyszczona ze wszystkiego, co by mogło przeszkodzić we wzroście rośliny tytoniowej.

— A duże są te działki?

— Do czterdziestu metrów kwadratowych. Każda para kulisów dostanie jeszcze sadzonki tytoniu z naszych szkółek, zasadzi je w ziemię w odległości około metra jedna od drugiej. I nie mamy już nic więcej do roboty na nowej plantacji. Wracamy do Kaloendangu.

— Teraz będziemy jeździli z wizytami, prawda?

— Poczekamy jeszcze kilka dni. Bo właśnie zaraz po powrocie do siebie dowiedzieliśmy się pewnej nowiny, która nie wróży nic dobrego, jeżeli nie dla nas osobiście, to przynajmniej dla niektórych naszych znajomych.

— A co się stało? Tygrys? — pyta Józek.

— Nie. Pamiętacie tego oficera policji, który to był z nami u radży, van Trassena?

— Tego „pół krwi“?

— Tak. Otóż telefonował on do nas, że w bardzo ważnej sprawie będzie w Kaloendangu naza jutrz po naszym powrocie. Zjedliśmy obiad...

— Popieściliśmy Klarę — powiada Wacka.

— Nie wiesz to, że Klara bywa z nami tylko przy śniadaniu — mówię. Nic ta dziewczyna nie uważa!

— Kładziemy się spać, bośmy się zmęczyli podróżą.

— Przedtem się kąpiemy, prawda? Pytamy się nosiwody, jak się ma jego syn, Duko — znów się wyrwa ta Wacka.

— Rozumie się, rozumie się — powiada pan kapitan. — Rano, jeszcze przed śniadaniem, syrena. Idziemy na przystań.

— Jest Sikro i jego ludzie. Lakas! Prezentują broń. Witamy się z Trassenem, który wcale nie ma wesołej miny. Idziemy. Tjoto już ma gotowy reistafel. Jemy. Po śniadaniu wy idziecie sobie w świat, a my zostajemy z Trassenem na werandzie. „Mam szalony kłopot“ — powiada mi van Trassen. „Co się stało?“ — „Nie wiem, czy słyszał pan o tem, że radza ma w swoim skarbcu, a raczej powiedzmy, miał, przedmiot dla siebie wprost bezcenny“. — „Cóż to było? — pytam. „Nazywało się to skarb Proroła“ — powiada Trassen. „Była to zielona jedwabna płachta, jakoby turban samego Mahometa, i kula. Niewielki kawałek burszyny, oszlifowanego kulisto. Wewnątrz tego burszyny był pajak czy mucha. Dokładnie panu tego powiedzieć nie mogę, bo rozumie pan, że mnie, jako niewiernemu, nigdy tego skarbu nie pokazywano“.

— Aha! To to była właśnie ta mucha w burszynie!

Pan kapitan uśmiechnął się i skinął głową.

— No i cóż się stało z tym skarbem Proroła? — pytam Trassena. Otóż to najgorsze, że nie-

wiadomo. Zginął. Przepadł, jak kamień w wodzie. Razem z kosztownym puzdrem, w którym go przechowywano! „Ktoś ukradł“ — powiadam. „Niezawodnie. Tylko kto? I w jakim celu? Bo trzeba panu wiedzieć, że skarb Proroka mógł posiadać wartość tylko dla jednego człowieka“. — „Dla kogo?“ — „Dla Tunkoe Buzy, następcy tronu“ — powiada Trassen. — „A cóż ma zależeć następcy tronu na skarbie Proroka? Przecież go nikomu nie odstąpi, nie daruje, ani nie sprzedaje?“ — mówię. Van Trassen obejrzał się, nachylił ku mnie i ciągnął szeptem: — „Widzi pan, ten kawałek zielonej materji i bursztyn z muchą po śmierci starego radży zabrał do siebie sułtan, maharadża z Deli, który, jak panu wiadomo, rozsądza sprawy spadkowe mniejszych radżów. Otóż obydwaj tunkoe, i Ristra, i Buza, mieli niemal jednakowe prawa do tronu. Zna ich pan obydwu, nie potrzebuję więc panu mówić, że rządowi zależało na tem, aby radżą był mądry Ristra, nie zaś dziki szaleniec Buza, któremu się zdaje, że żyjemy przed wiekami, że ma on prawo do życia i śmierci swoich poddanych, który trucizną, krissem szafuje na prawo i lewo. Teraz zresztą już nie tak hojnie, jak dawniej, bo go pilnujemy. Otóż wywarliśmy pewien nacisk na maharadżę z Deli-Medan i skarb Proroka dostał Ristra, a wraz ze skarbem radżostwo. Gdyby, powiadam, gdyby, co nie daj Boże, skarb Proroka dostał się do rąk Buzy, to moglibyśmy mieć kłopot niemały! Pan wie, jak popierają następcę tronu muftiowie, had-

żowie. Wiem, że sam mufti - besar, najwyższy duchowny mahometański, jest po jego stronie. Wiem też, że Tamaro, pan wie kto jest Tamaro, prawda?" — „Wiem — powiada. To największy krętaćz arabski, jakiego ziemia nosiła!" — „Otóż ten Tamaro uwija się gdzieś po wybrzeżu. Jeśliby się on jeszcze wdał w tę sprawę, możemy mieć albo ruchawki i wojnę domową, albo uroczysty pogrzeb panującego radży. A szkodaby go było!" — „Tak. To niewesoła sprawa" — mówię. — „Wcale niewesoła" — westchnął Trassen. „A wie pan, poco do pana przyjechałem? Zaaresztuję wszystkich chińskich kupców, jakich pan ma na plantacji! Wszystkich innych, oprócz pańskich, już mam pod kluczem. Chińczyk za pieniądze zrobi wszystko. Wie pan, że Malaje nie są zdolni do kradzieży. Złodziej więc muszę szukać pomiędzy Chińczykami. Jeżeli złodziej pokusił się o skarb Proroka, znęcony kosztownem puzdrem, a naprawdę skrzynia, zawierająca skarb, była piękna i cenna, to Chińczyk maczał w tem rękę. Jeżeli zaś złodziej był nastany przez Bużę, to też był to Chińczyk. Do pałacu radży nikt nie miał dostępu oprócz kupców chińskich. Na pewno więc powiedzą mi oni, gdzie mam szukać skarbu. Pan pozwoli, że natychmiast przystąpię do połowu chińczyków?" — zwrócił się do mnie. „Sikro — zawołałem. Plana kuda tuwan lejtnant! Osiodłaj konia pana porucznika!" Trassen, zabrawszy ze sobą oddział policji, pojechał. O nieszczęściu, jakie spotkało waszego przyjaciela,

pana Fu - Tsao, i innych kupców chińskich na plantacjach, nie wiedzielibyście nic, gdyby nie to, że w kilka godzin po wyjeździe Trassena zjawili się u mnie kapitan i porucznik z gorzkimi wymówkami, że pozwoliłem aresztować Chińczyków na terytorjum mojej plantacji. Pretensje tych panów były śmieszne, bo van Trassen miał władzę i mógł robić u mnie na plantacji co mu się tylko podobało, przedstawiciele jednak rządu chińskiego zachowywali się tak wyzywająco, że musiałem ich potraktować dość ostro. Na mój podniesiony głos wyjrzelście na werandę. Opowiedziałem wam o aresztowaniu Fu - Tsao.

— Musieliśmy być zmartwieni — powiedziała Wacka.

— Przypuszczam. Ponieważ jednak wieczorem mieliśmy wizytę pana Amonado, który ponoził swoje zaprosiny...

— Więc pojechaliśmy do niego? Tak?

— Tak. Jego parowcem. Daleka to była droga. Bo musieliśmy dojechać do Djawi - Djawi, a stamtąd wzdłuż wybrzeża morskiego płynęliśmy do samego wieczora. Wreszcie nocą już, (jak cudownie świecił księżyc!) żeglując po rzece, mniejszej niż nasza, dobrnęliśmy do plantacji w Hissu-Besar. Na werandzie czekała już na was O'Naja-San, rani pana Amonado, przemiła japonka.

— Co to jest rani?

— Rani znaczy dosłownie pani. Tak nazywają kolorowe żony plantatorów.

— Jakto kolorowe?

— Białym jest tylko i wyłącznie Europejczyk rodowity, lub Amerykanin, nie mający w sobie domieszki krwi obcej, murzyńskiej, mongolskiej, malajskiej, czy też indyjskiej. Każdego innego człowieka nazywa się kolorowym. I, niestety, traktuje często, jak coś pośledniejszego rodzaju, coś, co nie jest całkowitym człowiekiem. Rani pana Amonado była Japonką, a więc kolorową. Europejki, żony urzędników holenderskich naprzykład, nie utrzymywały z nią stosunków towarzyskich, uważając się za coś niezrównanie lepszego od Japonki. O'Naja była zresztą kobietą miłą, o wiele kulturalniejszą od tych, które zadzierały nosa tylko dlatego, że się urodziły gdzieś w małym, nędznym miasteczku holenderskiem. O'Naja bardzo lubiła dzieci. Będzie wam więc w Hissu - Besar jak w raj.

— O ile Rysick czego nie rozbije, albo nie połamie! — zaśmiała się Wacka.

Miałem się z nią sprzeczać? W obcym domu? Zmilczałem. Powiedziałem jej tylko:

— A ty uważaj, żebyś za wiele nie gadała, bo nikt nie będzie mógł dojść do słowa.

— A pan mówi, że nie pojedziemy zaraz z wizytami? Tylko poczekamy kilka dni. Pojechalibyśmy jednak do pana Amonado? — mówi Józek.

— Nie była to wizyta, tylko interes. Pan Amonado, ja i jeszcze kilku plantatorów chcieliśmy się naradzić z panem Szulcem, który przebywał gdzieś w okolicach Hissu - Besar. Gdyby z powodu kra-



dzieży skarbu Proroka miały wyniknąć jakicś awantury, zamieszki, musielibyśmy być na nie przygotowani. Zawsze zaczynają się one od ruchawek pomiędzy malajskimi robotnikami. Niech się jeszcze zdarzy niepomyślny zbiór tytoniu, pójdą za nimi chińscy kulisi. I wtedy może być kłopot nielada. Pan Szulc od trzydziestu lat przebywa pomiędzy Malajami i zna ich nawylot, był więc jedynym człowiekiem, który nam mógł powiedzieć, czego się możemy spodziewać? Zaręczam wam, że nie domyślilibyście się nigdy, jaki zawód uprawia ten pan Szulc, od którego czekaliśmy wyjaśnień. Był on łowcą motyli.

— Motyli? — zdziwiliśmy się wszyscy.

— Tak, motyli. Polował na motyle. Złowione okazy preparował tak cudownie, że nie traciły nawet jednego pyłka na skrzydełkach! Dostarczał swoją zwierzynę do wielkich agencji, domów handlowych, które ze swej strony dostarczają rzadkie okazy motyli zbieraczom, muzeom, pracownikom. Zarabiał nieźle, wymagania miał niezwykle skromne. Dochody swoje wydawał na własną pracownię, w której dokonywał prac naukowych tak cenionych, że gdyby tylko chciał, byłby już dawno profesorem jakiegoś uniwersytetu, członkiem Akademji. Ale Szulc był dziwak. Ani chciał słyszeć o jakichkolwiek zaszczytach, które zmusiłyby go do porzucenia puszczy. Ubierał się po malajsku, żył jak prosty Malaj z zapadłego kampongu, (tak się nazywają wioski malajskie), mówił tylko po ma-

iajsku i dumny był więcej z tego, że Malaje na całej Sumatrze znali go i szanowali, uważali za wyrocznię, radzili się Szulca we wszystkich ważniejszych sprawach, niż ze swej sławy naukowej, jako najlepszego znawcy owadów tropikalnych. Takim był pan Szulc, łowca motyli, który pochodził zresztą z Keyni, w Wielkopolsce, i mówił wcale dobrze po polsku. Rani O'Naja zajęła się wami. Zjedliśmy dobry obiad.

— Z Klarą? — zaśmiała się Wacka.

— Nie. Japończycy kochają kwiaty, ale nie bardzo lubią współzycie ze zwierzętami. Dom państwa Amonado jest czysty, wymuskany, pachnący, ale niema w nim ani Klary, ani beo, ani też psy nie wałęsają się swobodnie po wszystkich pokojach.

— Szkoda!

— Idźcie spać! Rano pojedziecie z asystentem pana Amonado na plantacje kawy. Przez ten czas my porozmawiamy z panem Szulcem.

— Jedziemy na plantację?

— Jedziecie. Zdaleka wydaje się wam, że patrzycie na rzadki zagajnik świerkowy. Drzewka kawowe są stożkowate, mają tylko zieleni ciemniejszą i bardziej lśniącą, niż igły świerkowe. Rosną one w odległości dwu, trzech metrów jedno od drugiego. Podjeżdżacie bliżej. Widzicie, że ziemia pomiędzy drzewkami jest tak czysta, że ani ździebka zielonego nie widać. Pielenie, oczyszczanie gruntu, który tak łatwo zarasta, jak wam to już opowiedziałem, jest najcięższą może pracą na plan-

tacji kawy. Drzewka gdzie nigdzie pokryte są kulczkami, gdzie indziej jeszcze kwitną. Kulczki te mają wszystkie kolory od zieleni do szkarłatu. Te szkarłatne — to dojrzały owoc kawy.

— Czy duże są te owoce?

— Weźcie dwa ziarenka kawy, złożcie je płaskimi stronami, wyobraźcie sobie, że taką kulczkę obciąga dość cienka skórka, i będziecie mieli owoc kawy. Pomiędzy drzewami przesuwają się robotnicy, przeważnie młodzi chłopcy i kobiety. Zbierają oni do koszów dojrzałe owoce. Te szkarłatne kulczki zsypują do wielkich, płaskich, wycementowanych koryt. Owoce schną na słońcu. Skórka na nich pęka i wysypują się ziarna.

Na specjalnych wialniach oddziela się ziarna od resztek zeschniętej skórki. I kawa gotowa. Pozostaje jeszcze część handlowo najważniejsza, gatunkowanie ziarn. Jest to praca bardzo trudna i wymagająca wielkiej wprawy. Gatunki kawy tworzą się przez dobór ziarn, jednolitych pod względem barwy, wielkości, kształtu.

— A ja zawsze myślałem, że każdy gatunek kawy rośnie na innem drzewie! — zawołał Antek.

— My w sklepie mamy najmniej pięć gatunków kawy. Jest Santos, Brazylja, Pernambuko...

— Wszystko to są nazwy, oznaczające w handlu gatunki ziarn kawowych. Ale wszystkie te gatunki rosną na tem samym kawowem drzewku. W Indjach Holenderskich czy w Brazylji piją tylko kawę, bez podziału na gatunki. I, wiercie mi, że

piją kawę tak wyborną, jakiej nikt i nigdy nie pija poza temi krajami. I jeśli was pani O'Naja poczęstuje kawą, to będzie to napój nie mający sobie równego.

— Ja tam niebardzo lubię kawę bez mleka — powiedziała Wacka.

— Niestety, moje dziecko, innej kawy, niż czarną, nie pija się tam, gdzie się pija naprawdę dobrą kawę. Ale dla ciebie O'Naja - San ma kokosowe mleko. Możesz sobie dolać do kawy.

— Kokosowy orzech widziałem. Pokazywał go nam pan. Ale przecież orzech nie może dawać mleka! — zdziwił się Józek.

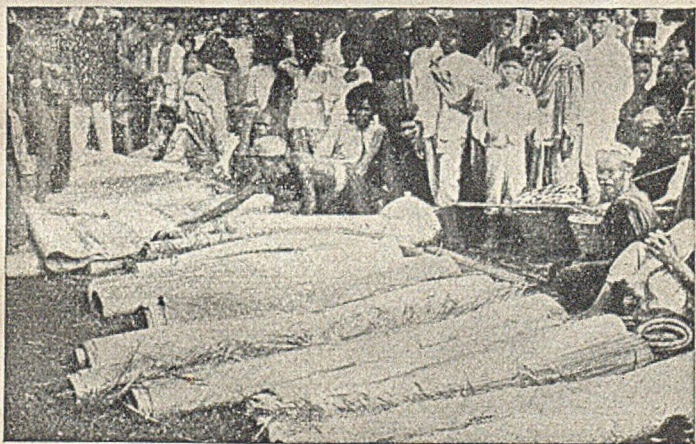
— A właśnie w orzechu kokosowym, zanię się jądro wykształci i dojrzeje, jest mleko. Jest to to samo jądro, tylko jeszcze płynne. Palma kokosowa, która rodzi orzechy, to może najpożyteczniejsza dla człowieka roślina na ziemi! Skorupa orzecha obrośnięta jest włóknem. Z tego włókna można prząść grube nici. A z nich tkąć maty, kręcić liny. Ze skorupy wyrabiają naczynia. Miąższ orzechą daje mleko, wyborny, posilny napój. Z dojrzałego jądra tłoczą olej, wyrabiają tak zwane masło kokosowe. Taka palma to prawdziwe błogosławieństwo dla podzwrotnikowego człowieka! Napij się więc, moja maleńka, kawy z kokosowym mlekiem.

— Wacka mi jest na imię.

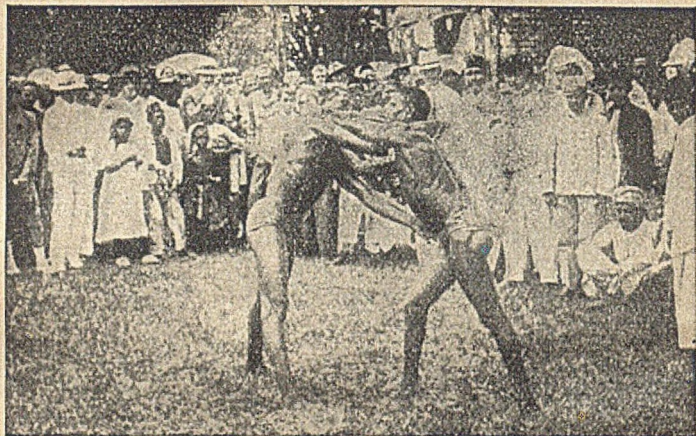
— Napij się więc, Wacko, kawy z kokosowym mlekiem i...



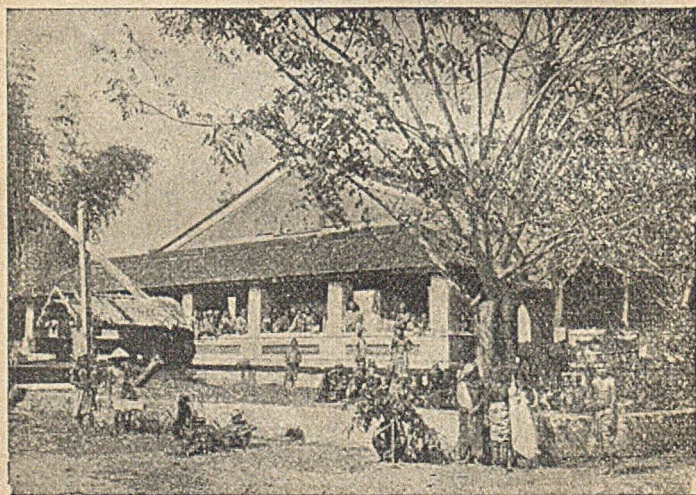
Targowisko



Maty na targowisku



Sifacze malajscy



Gmach sądowy

— Nie grymaś — powiedziałem raz Waccè za wszystko, co mnie dogadywała.

— Wróciliście z plantacji. My skończyliśmy nasze narady.

— A co powiedział pan Szule?

— Wysłuchał mojego opowiadania. Poprawił wielkie chińskie okulary na suchym wydatnym nosie, pogładził rzadziutką bródkę, parsknął cichym śmiechem i swoim skrzekliwym głosem pisnął: „Tchi! Z tego nie będzie nic! Znam skarb Proroka. Widziałem. Dokładnie widziałem — powtórzył. — Czy go ukradli? Ristra go będzie miał“. Napróżno go było pytać, co miał na myśli; Szule zawsze mówił zagadkowo i nigdy nie dawał wyjaśnień. Wypił kubek mleka kokosowego, powiedział nam „Tabe!“ i zginął w puszczy.

## VIII

Pan Amonado odesłał nas swoim statkiem do Laboean - Deli. Tam wsiedliśmy do pociągu.

— To tam są koleje?

— Niewiele jest linii kolejowych, ale są. Z Laboean - Deli dojeżdżamy do Medan, miasta, gdzie rezyduje sułtan, maharadża Medan - Deli, któremu rząd holenderski powierzył zwierzchnictwo nad pomniejszych panującymi. Już wam zresztą o nim wspomniałem. Ma on pałac murowany z kamienia i z małych brązowych cegiełek, robionych z gliny suszonej na słońcu. Pałac jest naprawdę wspania-

ły, Sułtan kochał się we wschodnim przepychu. Ma on wielki i liczny dwór, własne wojsko, rozumie się od parady i tylko od parady. Naprzeciwko pałacu Sułtana stoi olbrzymi budynek koszar holenderskich wojsk kolonialnych, a w cytadeli za miastem są działa. Gdyby sułtanowi przyszły do głowy jakieś awanturnicze pomysły, armaty z cytadeli nauczyłyby go poszanowania dla władzy holenderskiej. Ale Sułtan ma armję. Jest tego z tysiąc ludzi. Ubrani są w mundury i zawoje podobne do tych, jakie nosi nasz Sikro. A karabiny mają takie, jakich używała armja napoleońska, ruszająca na podbój Moskwy.

— Nie wstąpimy do sułtana? — spytała Wacka.

— Nie. Nie mamy do niego żadnego interesu. Musielibyśmy się zresztą starać u asystenta - rezydenta, urzędnika holenderskiego, przydzielonego do Sułtana, o osobne pozwolenie na złożenie maharadży wizyty.

— Tak się trudno dostać do niego?

— Tak. Rząd holenderski bardzo starannie przesiewa tych amatorów, którzy pragną złożyć sułtanom człobitność. Czyni to w interesie indyjskich władców. I swoim. Po Kolonjach włóczy się mnóstwo plaków niebieskich, którzy przez słosunki, niezawsze zgodne z prawem, uzyskują toelatingskart, to jest uprawnienie rządowe do przebywania w Indjach holenderskich. Są pomiędzy nimi specjaliści od odwiedzania dworów indyjskich książąt. Taki



pan czy pani zjawia się u radży. Ma w ręku bezwartościowy drobiazg, kupiony w pierwszym lepszym sklepie w Europi. Wygłasza pompacyjną mowę i składa u stóp tronu dar, to znaczy to głupstewko, jakie ze sobą przywiózł. Radża przyjmuje i nakazuje swojemu marszałkowi dworu obdarować wzamian szlachetnego ofiarodawcę z Europy. Prezent radży — to skarb w porównaniu z tem, co dał taki wydrwigrosz. Kilka czy kilkanaście podobnych wizyt u radżów i majątek pewny. Taki proceder nie tylko niepotrzebnie narażał radżów na straty, lecz co gorsze, kompromitował Europejczyków w oczach malajskiej ludności, co było bardzo nie na rękę rządowi, rozumiecie? Pozwólcie więc, że choć nie mamy w zanadrzu daru dla Sułtana i na pewno nie mielibyśmy trudności z otrzymaniem pozwolenia na odwiedzenie go, pojedziemy wprost do Telok - Niboeng, krańcowej stacji kolei, nie zatrzymując się nigdzie po drodze. Tam już czeka na nas nasz statek, nasz własny, którym jeździmy po Bili, nasz Tjoto, i twoja Meina, Wacko, bo panna nie rusza się nigdzie bez żeńskiej służby.

— Czy ona jest miła?

— O, bardzo. Ma lat jedenaście...

— To jest młodsza ode mnie!

— Tak. Tylko ty, Wacko, jesteś dzieckiem, a ona już jest dorosłą, dojrzałą kobietą. Ma tak samo jak ty „szczękę pantery“.

— Nie ma spiłowanych przednich zębów!

O jak to dobrze! — ucieszyła się niewiadomo czemu Wacka.

— Pochodzi z Jawy. Jest skończoną pięknością! Naprawdę, dzieci! — powiedział pan kapitan, bośmy mu się przyglądali trochę niedowierzająco. — Jej starsza siostra Sarinen, która również jest na plantacji, podobno była jeszcze piękniejsza. Dziś, gdy już była dwa razy zamężna i ma czworo dzieci, nie jest tak świeża, jak jej siostra.

— A ile ma lat ta Sarinen?

— Siedemnaście, moje dziecko.

— I czworo dzieci?

— Kobiety dojrzewają tam, pod zwrotnikami, bardzo wcześnie, wcześnie wychodzą zamaż i wcześnie się też starzeją. Zaręczam ci, Wacko, że od chwili, gdyś przyjechała do Kaloendangu, dzieci Sarinen nie wychodzą od nas. Zakochałaś się w tych łobuzach. Powiadam ci, są tak ładne, że oczu od nich oderwać nie można. Pewno pójdziesz zaraz do nich, jak tylko wrócimy do siebie.

— Rozumie się — powiedziała Wacka.

— Mąż Sarinen jest medanem, dozorcą malajskich robotników, na nowej plantacji. Odwiedzicie też za jednym zachodem i pana Fu - Tsao. Powrócił on już z więzienia.

— Skąd pan wie?

— Powiedział mi o tem Tjoto.

— Więc nie on ukradł skarb Proroka?

— Nie. Ale sposób Trassena był skuteczny. Potrzywał on Ghińczyków kilka dni o chlebie i wo-

dzie i dowiedział się czego chciał. Niezłego strachu napędziła kupcom chińskim ludność malajska, która zabrała się do rabowania sklepów. Musieli ich do tych rabunków podburzyć muftiowie, bo Malaje nie mają w sobie ani za grosz zdolności na rabusiów. Dość, że jeden z uwięzionych kupców wyśpiewał Trassenowi, gdzie ma szukać kufra ze skarbem. Trassen ruszył z policją na poszukiwania. Zabrał i naszego Sikro. Dlatego też nikt nie woła: Łukas! na przystani i niema naszej armji na pomoście.

— Ciekaw jestem, czy znajdą skarb? — powiedział Józek.

— Dowiemy się o tem od Trassena. Tymczasem jedźmy na nową plantację. Patrzcie — na każdym półku już widać młode rośliny tytoniowe. Kulis - hodowca i jego pomocnik grzebią motyką w ziemi, wrywają najmniejsze zdziebelka trawy. Gdyby mogli, własnym oddechem tchnęliby życie i moc w te nikłe jeszcze rośliny! Gotowiby niemal własną krwią podlewać słabe jeszcze pędy tytoniu, byle chciały rosnąć, rozwijać się, krzepnąć. Wyobrazić sobie nie możecie, ile nadziei, radości, a jeszcze częściej niepokoju, troski, rozpacz i zwątpienia przeżywa taki nieszczęśliwy kulis! Dniem i nocą lkwii on na swoim poletku, zapatrzony w tytoń! Cieszy się z każdego ładniejszego pędu, raduje go każdy liść o świeżej, zdrowej barwie. Bezustannie spulchnia ziemię, delikatnie oczyszcza z najdrobniejszych kamieni miejsce, gdzie wyrasta coraz moc-

niejsza łodyga. Obrywa przyziemne liście, grube i brzydko zabarwione, które tylko wypijają beużytecznie soki z rośliny. I bezustannie spogląda w niebo.

— Dlaczego?

— Widzicie, tytoń wymaga specjalnej gleby, lekkiej i obfitującej w pożywe dla rośliny składniki. Oprócz tego jednak młode rośliny tytoniowe pragną deszczu. Lecz chorują z nadmiaru słońca i ze zbyt obfitych deszczów. Ziemia, na której rosną, musi być ciepła i wilgotna, a jednocześnie pulchna i sucha. Słowem, uprawa tytoniu — to piekielna praca, wymagająca troskliwej staranności, do której tylko najcierpliwszy człowiek jest zdolny. Dla biednego kulisa na jego polatku nie rośnie tytoń, tam wschodzą i dojrzewają najpiękniejsze jego nadzieje. Obrywając pączki kwiatowe na krzaku, pączki, które również niepotrzebnie wyczerpują roślinę, kulis roi najpiękniejsze sny. Niechno tytoń obrodzi należycie! Kulis powróci do siebie, do Chin, bogaty, ach, jaki bogaty! Będzie miał własny dom, wiele służby, wiele żon! Zostanie kupcem, o którym każdy będzie mówił z szacunkiem i utajoną zazdrością! Będzie żył długie lata, doczeka się wnuków, prawnuków, a kiedy umrze, synowie sprawią mu piękną, ciężką, polerowaną trumnę i pochowają w miejscu, jakie sobie obierze jeszcze za życia. Ale słońce pali żarem. Liście, te cenne liście, poczynają zwisać omdlałe i bezsilne. Kulis jest w rozpacz. Błaga niebiosą o deszcz. Najlepsze

kąski swojej stawy składa w ofierze złemu duchowi, który się zawiązał na biednego kulisa i pragnie jego zguby. Modli się nocami. Gdybyście byli kiedykolwiek nocą na plantacji, słyszelibyście ten pomruk śpiewny, podobny do szumu wiatru. Ale i modlitwy nocne nie pomagają. Słońce ani myśli o sfolgowaniu. Wtedy kulis chwyla się ostatniego środka. Chwyla mojego Czanga, albo jakiegokolwiek obcego psa.

— To Czang zginął przez posuchę?

— Tak. Zarznął go nożem jakiś zrozpaczony kulis. Wysączył krew biednego Czanga do miseczki i szerokim ruchem, jakby siał, pryskał krwią na cztery strony świata, modląc się przytem głośno. Po tej ofierze z psa nadzieja wstąpiła w nieszczęsne, doprowadzone do ostatecznej rozpaczy serce. Demon zła nie może po ofierze z psiej krwi znęcać się nad biednym kulisem!

— No i co?

— I znów wszystkie nadzieje rozwiewa w proch ten sam demon, o ile za bardzo sobie weźmie do serca błaganie biednego kulisa. Grzmi. Błyska się. Niebo zasłaniają ciężkie, żółte chmury. Padają gęste, grube krople, wicher ze świstem przygina do ziemi cenne rośliny. Nad plantacją obrywa się chmura, zjawisko tak pospolite w krajach podzwrotnikowych! Wszędzie woda! Płaski teren plantacji staje się jeziorem. Tytoń tkwi w wodzie aż do wierzchołków. Rośliny piją, piją, piją ożywczą ciepłą wilgoć. Ale nie widać końca deszczu! Nie-

opisane zwały, strumienie wody, całe rzeki, leją się z chmur przez godziny, dni. Gałęzie, małe drzewa, wyrwane z korzeniami, trupy zwierząt pływają po powierzchni tej masy wód i co chwila mogą złamać cenne rośliny. Kulis i jego pomocnik wyją ze strachu, bólu i rozpacz. Brodzą po pas w wodzie, walczą ze wszystkim, co zagraża całości ich skarba.

— A co my robimy podczas takiej ulewy?

— Siedzimy w domu, moje dzieci, i czekamy, aż potop się skończy, to znaczy, aż ustąpią chmury i wyrzy słońce. Wtedy następuje okres gorączkowej pracy. Czyścimy rowy, robimy wszystko, co możemy, by pozwolić wodom spłynąć jak najprędzej do rzeki, do Bili. Wreszcie przez brudne wody poczyną przeglądać ląd. Wysuwają się z topieli wierzchołki tytoniu. Za chwilę pozostanie po potopie tylko zielony muł i to wszystko, co nam przyniosła powódź. Kulis uprzęta swoje pole. Wyprostowuje zwiśle rośliny. Te, którym już nic nie pomoże, ze łzami w oczach wyrzywa i wyrzyca. Znów świeci słońce. Plantacja oddycha spokojnie. Czy na długo? Kto to może powiedzieć?

## IX

— Van Trassen telefonował do nas.

— Aha? prawda! Zapomnieliśmy o nim!

— Jest w Radża - Bekar. Znalazł wprawdzie kufer, ale pusty. Skarb Proroka zginął.

— Więc miał go na pewno ten następca tronu, prawda? — powiedział Józek.

— Moglibyśmy się tego domyślać. Na pewno jednak nie wiedzieliśmy, co się stało z bursztynem. O tem, żeby przeszukiwać pałac następcy tronu, nie ma mowy. Trzeba czekać, jak się wypadki rozwiną. A tymczasem tytoń już dojrzał. Liście zabarwiły się na żółto, inne mają kolor dobrze wypieczonej skórki chleba. Kulis i jego pomocnik obcinają rośliny tuż przy ziemi. Przywiązują je za główny pęd do kijów i niosą swoje nadzieje do szopy, w której liście tytoniu będą fermentować. Stoi tam asystent, urzędnik plantacji, ogląda i bada rośliny, wymienia cenę, jaką plantacja ma zapłacić kulisowi. Kulis dostaje kwitek, asystent zaś notuje w swojej księdze: „Pole 18, 13 drzew“, i cenę, jaką kulis otrzyma. Jeżeli zbiór jest zły, kulis jest w rozpacz. Jeżeli zaś zbiór jest dobry, otrzymuje on pokąźną sumę pieniędzy. — Sam wypłacałem już kulisom po tysiącu i więcej dolarów za dostarczony tytoń.

— To taki kulis był szczęśliwy! Pewno natychmiast wracał do siebie, do Chin.

— Nic podobnego! W naturze Chińczyka leży zamiłowanie do gry, połączone z chciwością. Liczył na to, że następny zbiór podwoi jego majątek i zostawał. Bardzo często tracił cały zarobek i zaczynał dorabiać się na nowo. Zresztą z każdego zarobku taki kulis musiał się opłacać jeszcze pa-

nom kapitanowi i porucznikowi, niby za opiekę; jaką nad nim rozciągali.

— To taki kulis był naprawdę nieszczęśliwy! Wszyscy go wyzyskiwali! — powiedział Józek.

— Najbardziej mnie irytowała opieka kapita-  
na. Zjawiał się on na plantacji co jakiś czas. Prze-  
glądał księgi rachunkowe kulisów. Srożył się, że  
baraki niewygodne, że kulisi mają nieodpowiednie  
warunki pracy. A wiecie, kto załatwiał te wszyst-  
kie utyskiwania? Wasz przyjaciel Fu - Tsao. Miał  
on specjalny, kapitański fundusz, wypłacany mu  
przez kompanję. Jak on się dzielił z opiekunem  
kulisów, tego nie wiedział nikt. Biedni, naprawdę  
biedni byli ci kulisi.

— A co się dzieje z tytoniem? — spytał Antek.

— Najpierw wieszka się całe rośliny pod da-  
chem szopy. Usuwa się boczne jej ściany, tak, że  
powietrze ma dostęp do roślin. Kiedy wszystkie li-  
ście nabiorą już pięknej brązowej barwy, kobiety,  
bo w szopach pracują wyłącznie kobiety, obrywają  
liście i wiążą je w pęczki. Te pęczki składa się  
w wielkie sześciennie stogi, przekładając wiązki li-  
ści długimi rurami z bambusu. W każdej takiej  
rurze tkwi termometr. Złożone w stogi liście tyto-  
niowe zaczynają fermentować.

— Co to znaczy fermentować? — spytała  
Wacka.

— Powiedzmy gnić. Fermentacja niszczy  
niektóre niepożądane składniki liści tytonio-  
wych, tytoń surowy staje się tytoniem, który



można palić. Skutkiem fermentacji stóg tytoniu zagrzewa się, paruje. Trzeba go nieraz przewracać, przekładać na nowo, tak się w nim bowiem robi gorąco, że tytoń mógłby się sam zapalić.

— Bez fajki! — zaśmiała się Wacka.

— Tak, bez fajki — uśmiechnął się pan kapitan.—Wreszcie tytoń jest gotów. Stogi się rozrzuca. Zaczyna się gatunkowanie liści. Teraz kulisi siedzą wzdłuż szop na ziemi. Przed nimi leżą w szerokim kręgu liście. Jeden gatunek oddzielony od drugiego patyczkami. Pomocnicy przynoszą im ciągle nowe naręcza liści, a oni z niewypowiedzianą wprawą rzucają te liście na oddzielne kupki. Podziwiałem zawsze poczucie barwy u Chińczyków. Tam, gdzie ja nie widziałem żadnej różnicy w kolorze liści, Chińczyk znakomicie odróżniał siedm, ośm czy więcej odcieni. Poszczególne gatunki, odróżniające się barwą liści i ich wielkością, składa się na osobne kupy, numeruje, wiąże w pęczki po dwadzieścia pięć sztuk, poddaje krótkiej już tylko fermentacji, w zupełnie szczelnych, bez dostępu powietrza, pomieszczeniach, wreszcie pakuje w beły, po 100 kilo. Tytoń w bełach już możemy wywieźć do Europy! Skończyliśmy z jednym zbiorem, tytoniu! Tak byliśmy zajęci pracą, że zupełnie zapomnieliśmy o bożym świecie. A tu pomiędzy malajskimi robotnikami zaczęły chodzić niepokojące słyuchy. Wspominał nam o nich Tjoto, a i Sikro napomykał raz i drugi. Niepokoiłi się niemi i urzędnicy plantacji. Szczególniej pan Dupont, szwajcar, księgowy plan-

lacji, biedny człeczyna, który się bał własnego cienia, ciągle drżał o to, że albo zginie, pożarty przez tygrysa, albo otrują go Malaje.

— A co to były za wieści?

— Opowiadano sobie, rozumie się w największej tajemnicy, że lada dzień zjawi się Tamaro, ten arabski intrygant, o którym rozmawialiśmy wtedy z Trassenem.

— A kto to był Tamaro?

— Postać w każdym bądź razie niezwykła. Opowiadał on o sobie ni mniej ni więcej, tylko tyle, że był krewnym samego Mahometa. Malaje na wszystkich wyspach, na lądzie, mahometańscy Hindusi uważali go za półboga. Słowo Tamary znać było więcej niż wszystkie prawa. Żył on, jak król. Miał olbrzymie bogactwa, wszystko z darów od tych, którzy w niego wierzyli. Był on na tyle sprytny, że za swoje posłannictwo nie uważał bynajmniej jakiejś wyzwolenczej walki z europejczykami najeźdźcami. Płaszczył się i poniżał przed byle urzędnikiem angielskim, czy holenderskim. Ale zato występował wszędzie jako obrońca wiary Proroka. Tę obronę rozumiał w ten sposób, że judził ludność mahometańską przeciwko każdej innej ludności, z którą mahometanie żyli dotychczas w zgodzie. Gdzie się Tamaro pakował, można się było w najbliższych czasach spodziewać rozruchów i walk religijnych. Wszystkie państwa kolonjalne, a więc Holandja, Anglja, Francja starały się nie mieć u siebie krewniaka Proroka. Grzecznie, ale sta-

nowczo wypraszano go zewsząd, gdzie się tylko objawił. Nasi Malaje opowiadali, że Tamaro przyjedzie lada dzień do naszego radżatu, by zrobić w nim porządek. Na czem ten porządek miał polegać, tego nie wiedział nikt. Dla jednych to było wypędzenie Chińczyków, dla innych — wypłata co tydzień, zamiast co dwa tygodnie, jak to było dotychczas we zwyczaju. Byli i tacy, którzy wierzyli, iż Tamaro wypędzi hadzów, łupiących lud ze skóry. Dla mnie zaś i dla każdego, który znał sprawę kradzieży skarbu Proroka, było jasne, że Tamaro zamierza dopomóc do zmiany tronu, i że jeżeli przyjedzie, to tylko po to, aby przekazać Buzie turban Proroka i kulę bursztynową i w ten sposób wynieść go na radżat. Chińczyk, który dokonał kradzieży skarbu Proroka, był tylko narzędziem w ręku Tamary. To było jasne.

— A co robił pan Trassen? — spytał Józek.

— Nic. Czekał. Wiedział on to samo, co i ja. No i więcej jeszcze, niż ja, rozumie się. I tak mi się zdaje, że zacierał ręce z uciechy.

— Jako? Dlaczego?

— Przedewszystkiem wiedział już dokładnie, w czyich rękach znajduje się skarb, to jedno. Po drugie, wiedział, że zamach na tron odbędzie się przy udziale Tamary.

— Mógł zaaresztować tego Tamarę, odebrać n i skarb, prawda? — powiedział Józek. Ojciec Józka był policjantem, znał się więc on na tem, jak się postępuje ze złodziejami.

Pan kapitan się uśmiechnął.

— Może niezupełnie tak zamierzał postąpić Trassen, ale w każdym razie zadanie jego było bardzo ułatwione przez to, że znał posiadacza skarbu. Ponieważ narazie nie było się czego obawiać ze strony Tamary i malajskich robotników, pojechaliśmy z wami do Djawi - Djawi, aby przypilnować magazynowania tytoniu w wielkich spichrzach, jakie nasza kompanja miała w tym porcie. Ponieważ pan van Rijs, który dozorował tej czynności, dawał sobie znakomicie radę, pojechaliśmy na kilka dni do Radża - Bekar, do pana van Peerebooma, który już oddawna zapraszał nas do siebie.

— Obejrzymy plantacje herbaty?

— Właśnie.

— Przyjeżdżamy. Pierwszą osobą, jaką spotykamy, jest van Trassen. — „Co pan tu robi?“ — pytamy się porucznika. „Czatuję na zwierza“ — odpowiada z uśmiechem. — „Mam tu na rzece najszybszą motorówkę, jaką mogłem dostać. U brzegów krąży kanonierka“...

— Taki mały statek wojenny — powiada Antek.

— Tak, chłopcze.

— Tylko nic nie mów o wuju bosmanie! — osadziła go zaraz Wacka.

— Niepotrzebnie robisz mu, Wacko, uwagi, gdy daje zupełnie słuszne wyjaśnienia!

Nareszcie się dostało tej dziewczynie!

— „Otóż kanonierka, jak tylko zobaczy zdaleka jacht Tamary“...

— Jacht, to taki szybki statek żaglowy, ale są i motorowe. Tak jest zbudowany, że się niebardzo kołysze — mówi Antek i nawet nie spogląda w stronę Wacki.

— „Zatrzyma go i da mi znać. Ja płazka schwycę, no i potrafię go unieszkodliwić“. Siedzimy na werandzie z Trassenem, palimy, pijemy kawę, a wy jedziecie na plantację. Choć nie wiem, czy macie ochotę ruszać się z domu.

— Dlaczego?

— Pan Peereboom miał u siebie cały zwierzyńiec. Posiadał on wyjątkowy talent oswajania zwierząt. Stawały się one łagodne i miłe. I co najdziwniejsze, nie trzymane w klatkach, ani na uwięzi, nie uciekały do puszczy. Były tam małpy, niedźwiadki malajskie, szopy - przecze i wiele innych stworzeń, żyjących w zgodzie i przyjaźni.

— To już chyba zostaniemy w domu? — powiada Wacka.

— Ale jest tam i przeczabawny kucyk szetlandzki, Leo, niewiele większy od dużego doga. Zapręgają go do lekkiego wózka. Proszę siadać. Jedziecie.

— Ale wrócimy niedługo?

— Rozumie się. Plantacja jest niedaleko. Na pagórkach zielenią się małe krzaczki herbaty, Pomiedzy temi krzaczkami przesuwają się kobiety z koszami. Zgrabnym ruchem zrywają one końce

pędów z trzema ostatnimi listkami. I rzucają do kosza.

— Dlaczego trzema?

— Bo właśnie te najmłodsze trzy listki zawierają najwięcej aromatu. Liście te w specjalnych budynkach najpierw wędną w ciepłym powietrzu, potem w bębnach, obracających się wokoło, zwijają się w rurki, a jednocześnie oddzielają od łądy. Stamtąd przenoszą surową herbatę do stodoły, która ma kafelkową podłogę. Tam liście fermentują przez krótki okres czasu. Sfermentowane listki przenoszą do suszarni, gdzie w piecach schną prędko. Gotowa herbata idzie do sortowni. Dzielą ją tam na gatunki, zależnie od wielkości zwiniętych listków i ich koloru. W osobnym dziale robią pudła z bambusowej plecionki i paki. Herbatę pakują do pak i wysyłają w świat.

— Wracamy do domu — powiada Wacka. — Pobawimy się z małpami.

— Wracajcie. Już zaraz będzie noc. Jemy ciad. Zwierzęta są miłe, ale nieco dokuczliwe. Szczególnie małpy. Kradną owoce z pod ręki, ba, wrywają niemal z ust. Rozmawiamy. Aż tu dzwonek telefonu. Wzywa Trassena. Wraca, ma mnie bardzo nieszczególną. Co się stało? Szule wzywa go natychmiast do Negri - Lama. Jedziemy z nim?

— No rozumie się, że jedziemy — powiadamy chórem.

— Mieścimy się w jego motorówce, jak możemy. Motor w ruch. Mkniemy jak wicher.

— Ach, jak przyjemnie — mówi Wacka i przeciąga się.

— Do kabiny i spać. Mamy całą noc jazdy przed sobą.

— A gdzie Meina?

— Meina i Tjoto jadą z nami. Europejczykowi nie wypada wyruszać gdziekolwiek bez służby. Dobranoc!

## X

— Po drodze, tuż przy Kaloendangu, zatrzymuje nas łódź. Stajemy. List od-Szulca. „Proszę zatrzymać się jeszcze na jeden dzień w Kaloendangu. Dam znać, kiedy należy być w Negri Lama“. Cóż było począć? Wysiadamy. Idziemy do siebie. Na stopniach werandy czeka nas służba.

— Przecież Tjoto i Meina są z nami?

— Nasza służba osobista składa się co najmniej ze trzydziestu osób. Utrzymywanie licznej służby jest zwyczajem, poniekąd nawet obowiązkiem. Gdybyśmy się zadawali mniejszą liczbą osób zatrudnionych w naszym domu jako służba, Malaje mieliby nas za ludzi bez znaczenia, z którymi nie warto się liczyć. Widzę, że nasi domownicy mają miny zgnębione. Sarinen płacze.

— Sarinen to siostra Meiny, tak?

— Siostra twojej pokojówki, dziecko. „Co się stało?“, pytamy. Występuje Sikro, który już powrócił z wyprawy po skarb, i melduje mi po woj-

skowemu, że wczoraj właśnie jedno z dzieci Sari-nen, Nong, uroczy chłopiec, mój ulubieniec, został pożarty...

— Przez tygrysa? Ojej! Znów tygrysi! — wyrzeka Wacka.

— Nie, nie tygrysi. Tym razem mordercą był krokodyl. Jak to się stało, nikt nie wie. Dziecko poszło nad rzekę. I zginęło. Znalaziono tylko na brzegu wiadro i kawałek ramienia biednego Nonga.

— Biedactwo — jęknęła Wacka.

— Przeszukano już podobno wszystkie wykroty, pnie, korzenie w najbliższej okolicy, ale nie znaleziono bodaj śladu ciała chłopca.

— Jakto? — zdziwił się Józek. — Przecież go krokodyl zjadł!

— Krokodyle, kochanie, nie jadają świeżego mięsa. Porwaną zdobycz chowają pod korzenie drzew nadbrzeżnych i czekają, aż zacznie gnić. Kiedy rozkład ciała postąpi już dość daleko, wtedy dopiero te ohydne gady pożerają swą zdobycz. Toekan - ajar powiedział mi, że już posłano po łowcę krokodyli, który za kilka dni nadejdzie.

— Łowca krokodyli? Kto to jest łowca krokodyli?

— Widzicie, krokodyle są plagą, o jakiej się pojęcia niema. Olbrzymie te jaszczury, nieraz dłu-gie na ośm metrów, rozzuchwalają się w niektórych okolicach tak, że ściągają z łódek wioślarzy, chwytają dzieci, przechodzące przez mostki. Stare kro-kodyle, podobnie jak tygrysy, wolą ludzkie mięso,



niż wszelkie inne pożywienie. Krokodyl, schwy-  
ciwszy ofiarę, pastwi się nad nią, nurkuje z nią,  
puszcza ją z paszczy i znów chwytą, rozbija o ka-  
mienię. Nic dziwnego, że Malaj, przysięgając na  
swą niewinność, powiada: „Bodajby mnie kroko-  
dyl porwał, jeśli nie mówię prawdy“. Ludność  
miejscowa walczy z krokodylami. Są specjaliści,  
którzy nie robią nic więcej, tylko łapią krokodyle.  
To są właśnie łowcy, po których posyłał toekan-  
ajar.

— A jak oni łapią krokodyle? — pyta Józek.

— Do nadgniętego trupa małpy uwiązują klo-  
cek, ostro zakończony, z twardego drzewa. Dwa-  
dzieścia, trzydzieści takich wędek zawieszają na  
drzewach tam, gdzie pełno krokodyli, tak, aby tru-  
py małp zwisały na stopę, czy dwie nad powierzch-  
nią wody. Krokodyl, przynęcony zapachem, pod-  
pływa pod przynętę, zręcznym skokiem z wody po-  
rywa małpę i ucieka. W pierwszej chwili nie wie,  
że połknął przynętę, bo lina, na której ją przy-  
wieszono, jest luźna, długa i nie stawia oporu. Do-  
piero, gdy się lina napręży, krokodyl pocznie się  
szarpać, wtedy ostry klin z twardego drzewa przy-  
biera pozycję pionową, wpijając się ostrzem w żo-  
łądek zwierza. Łowca krokodyli przychodzi po  
swą zdobycz dopiero na drugi, trzeci dzień. Cią-  
gnie linkę. Potwór się broni, ale ból w żołądku nie  
pozwala mu się wyrwać. Lina przesuwa mu się  
pomiędzy zębami, więc nie może jej przegryźć.  
Wyciągają go na brzeg. Zarzucają pętlę

na szczęki. Łowca siada na grzbiecie krokodyla. Związuje mu tylne nogi, potem przednie, przewraca na grzbiet. Krokodyl jest pokonany. Tak wygląda malajskie polowanie na te bestje. Malajom chodzi raczej o zemstę nad potworem, porywającym ludzi, niż o wytrzebiecie, lub choćby wystraszenie krokodyli. To też nie chciałem czekać na przybycie łowcy malajskiego. Miałem wyrzuty sumienia, że oddawna nie zrobiłem porządku z krokodylami w okolicy plantacji i dopuściłem do tego, że mi z pod ręki niejako porywają ludzi.

— Dzieci — poprawiła Wacka.

— Jeszcze gorzej, moje dziecko, bo dziecko jest bezbronne, nieostrożne i łatwiej pada ofiarą żarłoczności tych potworów. Powiadam więc do Trassena: „Jesteśmy wolni. Jedźmy razem na krokodyle“. Zgodził się.

— A nas pan zabierze?

— Owszem. Żadne niebezpieczeństwo nie będzie wam groziło. Posyłamy toekan-ajara po sieci.

— Będziemy łowili krokodyle z wody?

— Nie. Widzicie, krokodyle są bardzo ostrożne i płochliwe. Jeżeli podjedziemy do nich na odległość strzału, zabijemy jednego lub dwa. Reszta ucieknie do wody. I te ujdą nam bezkarnie. Jeżeli natomiast miejsce, gdzie się wylegują te bestje, okrążymy siecią, specjalną mocną siecią z wielkimi okami, to nam nie uciekną. Wyjeżdżamy wcześ-

nym rankiem. Jeden koniec sieci umocowany jest do parowca, którym jedziemy, drugi ma Trassen, na swojej motorówce. Jest jeden zakręt Bili, tuż koło plantacji, gdzie rzeka cofa się od brzegu i zostawia szeroki, piaszczysty brzeg. To jest ulubione miejsce krokodyli. Podpływamy na naszym parowcu o jakieś sto kroków od miejsca, gdzie widać słoczone śpiące krokodyle, umocowujemy koniec sieci do drzewa. To samo z drugiej strony robią ludzie van Trassena. Krokodyle ani drgnęły. Teraz cofamy się na środek rzeki. I jednocześnie ja, Sikro i jeszcze kilku policjantów na parowcu, Trassen i jego ludzie na motorówce rozpoczynamy ogień. Strzelanina taka, jak podczas gorącej u-tarczki. Legło kilka trupów. Reszta już jest w wodzie. I wtedy jest na co patrzeć! Woda w rzece, tak zazwyczaj spokojnej, bulgoce, pieni się, wre! Nasz mały parowiec tańczy na falach, jak podczas burzy morskiej. Sikro wyjmuje nabój dynamitowy. Ostrożnie, dzieci, bo będzie wybuch! Bum! Słup wody tryska dogóry! Mija parę minut. I cisza. Tu i tam wypływają na powierzchnię jasne brzuchy krokodyli. Woda się wygładza. Słyszymy lekki szelest fali o dziób statku. Bierzemy drugą sieć i robimy nowy zakład w innem miejscu.

— A co się stanie z krokodylami

— Trupy krokodyli spłyną z wodą do morza. Ale na pewien czas będziemy mieli spokój. Kroko-

dyle nie pokazują się w miejscu, gdzie je spotkała katastrofa, przez dłuższy czas.

— A dużo zabiliśmy tych krokodyli? — pyta Józek.

— Sprawiliśmy im rzeź. Bylibyśmy jednak wykończyli całkowicie krokodyle w naszej okolicy, gdyby nie to, że dopędziła nas na rzece łódź, a w niej pan Dupont...

— Ten księgowy, co się tak wszystkiego bał?

— Tak. Skoro więc pan Dupont zaryzykował jazdę łodzią po rzece, to sprawa, z którą przybywał, musiała być bardzo ważna, jak się domyślicie.

— Nowina od pana Szulca, prawda?

— Tak. Szulc wzywa nas na jutro do Negri-Lama.

— Zabierze nas pan?

— Rozumie się. Wracamy. Powiedzcie też kilka serdecznych słów nieszczęsnej Sarinie. Ale nie bawcie u niej długo, bo zaraz dadzą obiad. Parę chwil pogawędki. I spać.

— Wyruszamy o świcie?

— Rozumie się. Trassen pojedzie przed nami na swojej szybkiej motorówce. My jedziemy naszym wygodnym, ale niezbyt pośpiesznym statkiem. Dobranoc!

## XI

— Wprost z przystani w Negri - Lama idziemy do pałacu radży. Już dochodzimy do budynku

sądowego, gdy zatrzymuje nas Thiel, podporucznik, zastępca Trassena. Prosi nas, byśmy wstąpili do van Trassena, który nas oczekuje u siebie. Dopytujemy się, co zaszło, ale Thiel wzrusza ramionami. „Ja nic nie rozumiem, co się tu dzieje. Może Trassen będzie mógł państwu coś pewnego powiedzieć“, mruczy pod nosem, wyraźnie niezadowolony. Idziemy do Trassena. Miota się po werandzie, jest zły, i też nic nie wie. Powiada nam tylko, że Szulc umówił się już z rezydentem, najwyższą władzą holenderską, że on, to jest Szulc, wyda odpowiednie rozkazy. To, że Trassen musi słuchać rozkazów Szulca, wyprowadza go najwidoczniej z równowagi, bo się zachowuje niczem rozwścieczony lew w klatce. Szulc podobno z godziny na godzinę zmienia swoje zarządzenia. Przyszło mu do głowy, że radza wieczorem wyda wspaniałe przyjęcie, z tancerkami i orkiestrą. Po gamelan posłali aż do Medan-Deli, do sułtana.

— Co to jest gamelan? Owoce?—pyta Wacka.

— Nie, to orkiestra malajska. Szulc podobno w imieniu radży pozapraszał na tę uroczystość wszystkich Europejczyków, kierowników plantacji, i co dziwniejsze, radżów z Siantar, Balige i innych, słowem z pięćdziesięciu większych i mniejszych książąt indyjskich. „Zenić chce Ristrę, czy co? A tymczasem Tamaro przemknie się przez rzekę i może być nieszczęście“ — biada Trassen. Dla nas to jest wszystko jedno. Nie potrzebujemy sobie brać do serca gniewu Trassena. Szulc, na-

szem zdaniem, wie co robi, i jeżeli zarządził przyjęcie na wieczór, to najwidoczniej miał w tem jakąś myśl. Zjadamy reistafel, przesypiamy upał. Z zapadnięciem nocy, wystrojeni, wymuskani...

— A w co ja się ubiorę? — pyta Wacka.

— Jeszcze za pobytu w Singapur zaopatrzyliśmy się w odpowiednie arderobę. Idziemy. My, Trassen i Thiel na przedzie. Obaj oficerowie w paradnych mundurach, aż lśnią od złota i galonów. Za nami oddział wojska. Trębacz trąbi, bęben bije, parada, powiadam wam taka, jakiej żęście nigdy nie widzieli. Ogród radży oświetlony pochodniami. Wchodzimy. Straż radży, dzisiaj znacznie liczniejsza, niż zazwyczaj, woła: „Tabe!“ Kroczymy posuwicie na werandę, oświetloną tak, że widno, jak w dzień. Jest już kilku kierowników plantacyj. Witamy się z nimi. Stajemy zboku. Bo na środku werandy, wielkiej, jak ten ogródek, stoją półkolem krzesła i leżaki. Domyślamy się, że to miejsca honorowe dla koronowanych osób. Podają kawę i papierosy. Pijemy, palimy.

— Ja nie — powiada Antek, choć mógł się przecież domyśleć, że pan kapitan mówi tak sobie, na niby.

— Dobrze robisz, chłopcze, że nie palisz.

— Ale nie przeszkadzaj! — zawołała ze złością Wacka.

— Po dłuższej chwili otwierają się wewnętrzne drzwi i wchodzi Ristra, radża. Ma on dziś na sobie przepiękny, błękitny kaftan aksamitny, cały

zahaftowany złotem. Przepasany jest nadzwyczajnie kosztownym szalem, za którym tkwią kryse o tak misternych rękojeściach, że otwieramy szeroko oczy z podziwu. Radża, jak zawsze uprzejmy, wita się z nami. W tej chwili z drzwi domu wysuwają się jedna pó drugiej, coraz bardziej olśniewające przepychem szat postacie. To radżowie i ich najbliżsi krewni, zaproszeni na dzisiejszą uroczystość. Zasiadają oni kołem na przygotowanych miejscach. Za nimi staje ich służba. Jest tego ze dwie setki. Jeden strojniejszy od drugiego. Wyobrażam sobie, że oczy robią się wam okrągłe z podziwu! Rzeczywiście, to niezwykle widowisko! Barw tyle, co w tęczy, złoto, klejnoty! Cudownie! Nagle robi się ruch na stopniach. Wsparty na ramionach dwu dworaków wtacza się ciężko Buza. Ledwie kiwnął głową bratu, schylił się nisko przed gośćmi i ciężko opadł na leżak. Oczy mu latają nięspokojnie, jakby czegoś oczekiwał. Słysząc dalekie echo jakichś okrzyków. Buza porusza się niecierpliwie na swoim leżaku. Gwar się zbliża. Słysząc już wyraźnie: „Tabe, tabe, Mufti-Besar, tabe, Mufti-Besar!“ Mija kilka sekund. Słysząc na stopniach kroki. Patrząc, oczom nie wierzę! Kto? Tamaro! Trassen aż pobladł. Widzę, że się chce rzucić przed siebie. Aż tu słyszę szepc: „Natychmiast pan zejdzie do swoich ludzi. Obsadzi wszystkie wyjścia z ogrodu. Aresztować Tamarę, gdy tylko opuści pałac. Wsadzi go pan w swoją motorówkę i odwiezie na kanonierkę. Tam już bę-

dą wiedzieli, co z nim zrobić". Oglądam się — Szulc. Jest ubrany pół z malajska, pół z europejska, wygląda na urzędnika radży i dlatego pewno nikt z nas go nie zauważył.

Trassen zniknął. Tamaro stanął w środku koła i zaczął długą przemowę, przeciągając zgłoski, tak jakby śpiewał. Nie zrozumieliśmy z tego ani słowa. Bo Tamaro mówił językiem malajskim, jakiego używają tylko uczeni i poeci, językiem literackim, który zupełnie jest niepodobny do języka, jakim rozmawia się na codzień. Jak mi potem Szulc opowiadał, była to starożytna pieśń, która opiewała skarb Proroka i z której miało wynikać, że kto posiada skarb, ten jest prawdziwym radżą, choćby go okoliczności pozbawiły tronu. Buza pęczniał z pychy. Zerwał się na równe nogi, gdy Tamaro skończył pieśń i z niskim ukłonem wręczył mu kawałek zielonej materji i... muchę w bursztynie. Spojrzał na Ristrę, na radżów i, potrząsając zieloną szmatką nad głową, krzychał coś w tym samym języku, w jakim przemawiał Tamaro. W tej chwili wystąpił przed radżów Sz...

Za nim dwu dworzan dźwigało ciężki kufier precudnej roboty, cały wysadzany drogiemi kamieniami. Ristra podszedł do kufra, otworzył go. Wyjął taką samą zieloną szmatkę, jak ta, którą powiewał Buza, i taką samą kulę bursztynową, jaką tamten miał w dłoni. Szerokim ruchem pokazał na dłoni turban i kulę wszystkim obecnym. Zdumienie. Najbardziej oszołomiony był Buza.



Skorzystał z tego Szulc i wyjął mu zieloną chustę i bursztyn z ręki, zanim się Buza spostrzegł. Wziął kulę bursztynową do ręki, przejrzał ją pod światło i powiedział spokojnie: — „Następca tronu został wprowadzony w błąd. To, co mu w tej chwili podał Mufti-Besar (tak nazywano Tamarę), jest tylko nieudolnym naśladownictwem prawdziwego skarbu Proroka, który nigdy nie wychodził z rąk naszego radcy. Żeby przekonać wasze wysokoście o prawdzie moich słów, pokażę im, że wewnątrz kuli niema muchy!” — Zanim się zorientowano, co się dzieje, Szulc uderzył młotkiem w kulę, która pękła prawie na pół. — „Wasze wysokoście zechcą się same przekonać, czy jest tu wewnątrz mucha!”

Oglądano bursztyn ze wszystkich stron — muchy nie było. Buza obrócił się dokoła własnej osi, zaczął się macać po szalu, szukając broni. Tamaro wziął go pod rękę. Krzyknął coś groźnego w stronę Szulca i wyszedł razem z Buzą. Radzowie i książęta poszeptali pomiędzy sobą, pokiwali głowami. Później podchodzili kolejno do Ristry i ściskali mu ręce. W ten sposób Szulc sprawił, że intryga Tamary spaliła na panewce.

— Ale jak się to wszystko stało?

— Spytajcie Szulca, może wam odpowie, bo mnie nie chciał nic powiedzieć. Później dopiero dowiedziałem się, iż wiedział on o tem, że Tamaro przemknął się przez zastawione na niego sieci. Szulc, dowiedziawszy się o tem, wezwał Trassena do powrotu do Negri-Lama. Przypuszczał on, że

Tamaro niezwłocznie przystąpi do wykonania swego planu. Ale Tamaro zwlekał. Wtedy Szulc umyślnie urządził przyjęcie u radży. Były to wymarzone okoliczności dla Tamary. Wręczenie skarbu Proroka Buzie odbyłoby się przy świadkach i z pompą. Tamaro dał się złapać, no i przegrał. Ale chodźmy prędko do ogrodu, bo już najwyższy czas. Poszedł tam już Ristra i jego dostojni goście. Słychać już gamelan, grający melodję królewską.

— To pewno bardzo hałaśliwa muzyka, taki gamelan — powiada Wacka.

— Moje dziecko, kto na własne uszy nie słyszał gamelanu, nie może mieć pojęcia o uroku tej muzyki. Czasem, kiedy słyszę dźwięczne dudnienie słupów telegraficznych, mam wrażenie, że dolatuje mnie zdaleka dźwięk gamelanu. Orkiestra składa się z dzwonów, od najmniejszych, aż do takich, które mają metr średnicy. Dzwony te mają dźwięk głęboki, spotęgowany przez długie rury bambusowe, umieszczone pod nimi. W dzwony biją lekko pałeczkami, zakończonemi kulką z gumy. Dźwięk jest cichy, łagodny, dziwnie wnikliwy. Melodja zdaje się wypełniać sobą powietrze, płynie poważnie, powolnie, snuje się, jak ciężki dym kadzideł. Czasem w tę posuwistą melodję wpada skoczny żywy rytm, wygrywany na kawałkach drzewa, czy na metalowych cymbałkach, podobnych do tych, na jakich grają dzieci. Powiadam wam, kto raz słyszy gamelan, ten nie zapomni go nigdy! Skończyła się melodja królewska. Coraz

żywiej zaczynają się odzywać cymbały i drzewo. Na podwyższenie wstępuje tancerka. Ma złoty hełm na głowie. Stoi nieruchomo. Tańczą tylko ręce. Wiją się one, jak węże, w niesamowitych skrętach. Skończyła. Za chwilę rozpocznie się teatr, wajang-kaju. Występować w nim będą lalki.

— Lalki?

— Tak, lalki. Albo powycinane z bawolej skóry postacie, malowane i złęczone. Wtedy będzie to teatr cieni. Bo przedstawienie odbywa się na tle oświetlonej ztyłu zasłony. Nie wiemy, co nam pokażą. Widzimy dopiero przygotowania. Nagle w półkole, gdzie stał gamelan, wbiega dworzanin radży. Szepta coś Ristrze do ucha. Ten się zrywa. Podbiega do niego Szulc. Wzywają Thiela. Oficer wybiega jak strzała. Za nim Szulc. Rzuca mi jedno słowo: „Amok“. „Kto?“ pytam. „Buza!“

— Co to jest amok?

— To specjalna malajska choroba. Szał. Lekarze nie znają prawdziwej przyczyny tego szału, nie wiedzą, jak go leczyć. Człowiek, dotknięty amokiem, rzuca się z nożem w ręce na każdego spotkanego człowieka.

— Ojej! — jęknęła Wacka.

— Mężczyźni chwytają wtedy za widły i starają się zatrzymać i obezwładnić szaleńca. Najczęściej jednak zabijają go. Innego wyjścia niema.

— To i Buza?

— Zginął. Tak się skończyła historia z mu-  
chą w bursztynie — powiedział pan kapitan

— A dlaczego nie było muchy w tym bursztynie, co go miał Tamaro? — pyta Antek.

— Bo w żadnym bursztynie nicma muchy.

— Jakto? W moim była.

— Był kształt muchy. Zachował się on w bursztynie znakomicie, ale samej muchy w nim już nie było. Owad, utopiony w żywicy, sam stłął, zniknął. Zostało po nim tylko coś niby odcisk. Dlatego mówiłem ci, żebyś nie szukał muchy z bursztynu, bo jej nie znajdziesz.

— A proszę pana, który był skarb prawdziwy, ten, co go miał Tamaro, czy ten, który miał Ristra? — spytał Józek.

Pan kapitan się uśmiechnął.

— Nie chciałbym być przyczyną jakichś nowych waśni w Negri-Lama. Potraficie dochować tajemnicy? Tak? No więc wam zdradzę to, co mi kiedyś, kilka lat później, powiedział Szulc. — „O zieloną jedwabną płachtę nietrudno, a bursztyn z muchą na szczęście miałem w swoich zbiorach”. Mogę was tylko zapewnić, że Ristra był przekonany, iż Szulc przez swoje stosunki z Malajami w jakiś sobie tylko wiadomy sposób odzyskał skradziony prawdziwy skarb Proroka. Ale dość już o tem. Proszę, pokażę wam moje zbiory.

Poszliśmy do domu pana kapitana. Czegośmy tam nie widzieli! Nawet nicma co opowiadać, bo jak tu mówić o tylu i takich dziwnych rzeczach, które się widzi po raz pierwszy w życiu!

Podziękowaliśmy panu kapitanowi. Już przy furtce swojego ogrodu powiedział do nas:

— A proszę pamiętać o mnie! Odwiedzajcie mnie! Bardzo przyjemnie mi było pogawędzić z wami!

A Wacka, jak to Wacka, zawsze się wyrywa, powiada:

— A czy mogę przyprowadzić dziewczynki z mojej klasy? I oneby rade zobaczyły tyle ciekawych rzeczy?

Pan kapitan spojrzał na nią, pokiwał głową, jeszcze raz jej się przyjrzał i powiedział:

— Dziękuję ci bardzo, moje dziecko, żeś mi przypomniała o tem, co już dawno powinienem był zrobić. Nie mam ja wprawdzie u siebie jakichś specjalnie ciekawych przedmiotów, bo com miał cenniejszego, to już dawno jest w muzeum w Warszawie, ale i to, co mi zostało, powinno być dostępne dla wszystkich, a przede wszystkim dla was. Jutro idę do pana kierownika i zapraszam całą szkołę do mojego domu.

— Nie zmieszczą się — powiada Józek.

— Jakoś się ułożymy z panem kierownikiem, co do tego, która klasa i kiedy przyjdzie do mnie w odwiedziny. A wy uważajcie się od dziś za moich znajomych i pamiętajcie, że dla was zawsze mój dom stoi otworem. Dowidzenia!

— Dowidzenia!

Muszę powiedzieć jeszcze, że choć w domu pana kapitana było bardzo wiele kruchych rzeczy, jakoś nie zbiłem nic.

~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH~~

~~Nr \_\_\_\_\_~~

2011 - 21

1997-01-10

1. 05. 1999

2013-09-10

2009-00-12

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE  
w GLIWICACH

K 18787

SP